GAZETA
LEŚNA i MYŚLIWSKA
DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
DLA WŁAŚCICIELI LASÓW, LEŚNICZYCH, MYŚLIWYCH i MIŁOŚNIKÓW PRZYRODY
Redakcja i Administracja: Nowy Zjazd 7. Telefon 248-82. — Wydawca i kierownik literacki Gustaw Buseck-Busecki.
№ 11. WARSZAWA, 1 Czerwca 1913 r. Rok II.

W. OLSZOWSKI.

JAK SIEJE LASY NATURA?



Rozwijający się od lat kilku w nauce leśnictwa prąd odnośnie do metod odnowienia lasu można nazwać dążeniem powrotu do natury. Wielu gospodarzy leśnych narzeka na nieudawanie się sztucznych upraw na szkody zrządzane w zagajnikach przez grzybek osutkowy, przez pędraki, korniki, ryjkowce i inne owady, grzyb korzeniowy Polyporus annosus, przez mrozy, wiatry śniegi i t. p. A uczeni leśnicy i profesorowie podchwytują te narzekania, prowadzą badania tych szkodliwych zjawisk przyrody, dochodzą ich przyczyn i szukają środków zaradczych, zabezpieczających od ich niszczącego działania. Najwięcej tych badań mamy dokonanych przez uczonych niemieckich. Rozumie się, że badania te bywają zwykle ściśle naukowo przeprowadzone, jak to jest tym uczonym właściwem, i dla nauki leśnictwa są bardzo pożyteczne. Ale, jak to już raz wypowiedziałem w artykule swoim p. t. „Jeszcze o sośninach na polach", uczeni niemieccy analityczne badania przeprowadzają bardzo sumiennie i dokładnie, a jednak w wyprowadzeniu z nich dobrej syntezy częstokroć błądzą. Otóż niemieccy profesorowie leśnictwa, zbadawszy przyczyny niepowodzeń sztucznych upraw i szkód w nich zrządzanych i nie bardzo udatnych wielu naturalnych zalesień w rębach czystych lub z nasiennikami, doszli do wniosku, że wszystkie praktykowane dotąd systemy gospodarcze są nie dobre, jako niezgodne z naturą, trzeba więc do niej powrócić, to jest do tych sposobów odmłodnienia lasu, jakich używała natura, bo te lasy, jakie od niej w spadku otrzymaliśmy, są lepsze od tych, które teraz hodujemy. Powrotem do natury mają być według zdania tych uczonych nowe systemy gospodarcze, dzielnicowo-porębowy, obiegowo-przerębowy, kępkowo-przerębowy i przerębowo-brzeżny, w związku rozumie się z samosiewem.

Nie będę tu opisywał szczegółowo każdego z tych systemów, bo ich zalecać niemam zamiaru, a kto się z niemi chce zapoznać, może ich opis znaleść w świeżem wydawnictwie „Hodowla lasu" profesora Sokołowskiego, i w recenzji Leśnika Polskiego o książce prof. Wagnera „Die Grundlagen der räumlichen Ordnung im Walde" lub w samej tej książce. Główną zasadą tych najnowszych koncepcji naukowych jest odmłodnienie lasu samosiewem, z zupełnem wyłączeniem rębów czystych i nawet obsiewnych z nasienikami w układzie łącznym, a tylko za pomocą rębów wielokrotnych i nie skupionych w jednem miejscu, lecz rozbitych na drobne części w kilku dzielnicach, lub wązkie paski obiegające daną przestrzeń lasu rębnego. Autorowie tych nowych metod odnowienia lasu opierają się na przekonaniu, że lasy, które sama natura zasiała, są lepsze od lasów wyhodowanych sztucznie, oraz na spostrzeżeniu, że natura las

usychający, czy walący się ze starości, lub nareszcie z innych przyczyn najczęściej w pojedynczych sztukach lub w grupach czy kępkach odnawia przez podsiewanie pozostających z tych przyczyn pustych placów, przyczem powstająca młodzież znajduje ochronę i od upałów słonecznych i od mroźnych wiatrów.

Co do przekonania, że lasy, które sama natura zasiała, są lepsze od lasów wyhodowanych sztucznie, jest to kwestja sporna, a według mego osobistego poglądu nietylko niedowiedziona, lecz na błędnie oświetlonych spostrzeżeniach oparta. Już w samej podniesionej wątpliwości, jak lasy natura zasiała, mieści się twierdzenie, że ta kwestja odnosi się do tych lasów, które już dziś są stare, a do zasiewu których człowiek nie przyłożył wcale swojej ręki, nawet bezpośrednio. Bo przecież większą część dzisiejszych lasów także nie my siejemy, tylko natura, mianowicie te lasy, w których prowadzimy ręby dwukrotne lub trzykrotne z pozostawieniem nasienników, i im powierzamy całe zadanie obsiewu.

Chcąc kwestję zasiewu lasów przez naturę zbadać zasadniczo, należy zwrócić się myślą do tej epoki, w której lasy z tych rodzajów drzew jak dzisiejsze złożone powstały w środkowej i północnej Europie, to jest do okresu geologicznego czwartorzędowego po ukończeniu w środku tego okresu epoki dyluwjalno-lodowej. Bo jakkolwiek cała Europa już w trzech okresach poprzednich była pokryta lasami, ale to były lasy złożone przeważnie z rodzajów drzew podzwrotnikowych, odpowiednich do takiegoż klimatu panującego wówczas nawet w północnej Europie. Tylko na wysokich górach alpejskich, karpackich i skandynawskich, gdzie stan temperatury był znacznie chłodniejszy, wzrastały niebotyczne lasy szpilkowe. A gdy w przejściu z okresu trzeciorzędowego do czwartorzędu nastąpiła na półkuli północnej wielka epoka lodowa, wtedy cała Europa północna i część środkowej pokrytą została całunem lodów skandynawskich, w zastępstwie czego wszystkie lasy pokrywające równiny i niższe wzgórza zostały na długi okres czasu zniszczone, pozostały jedynie owe lasy przeważnie szpilkowe na wyniosłościach nie zajętych przez lody.

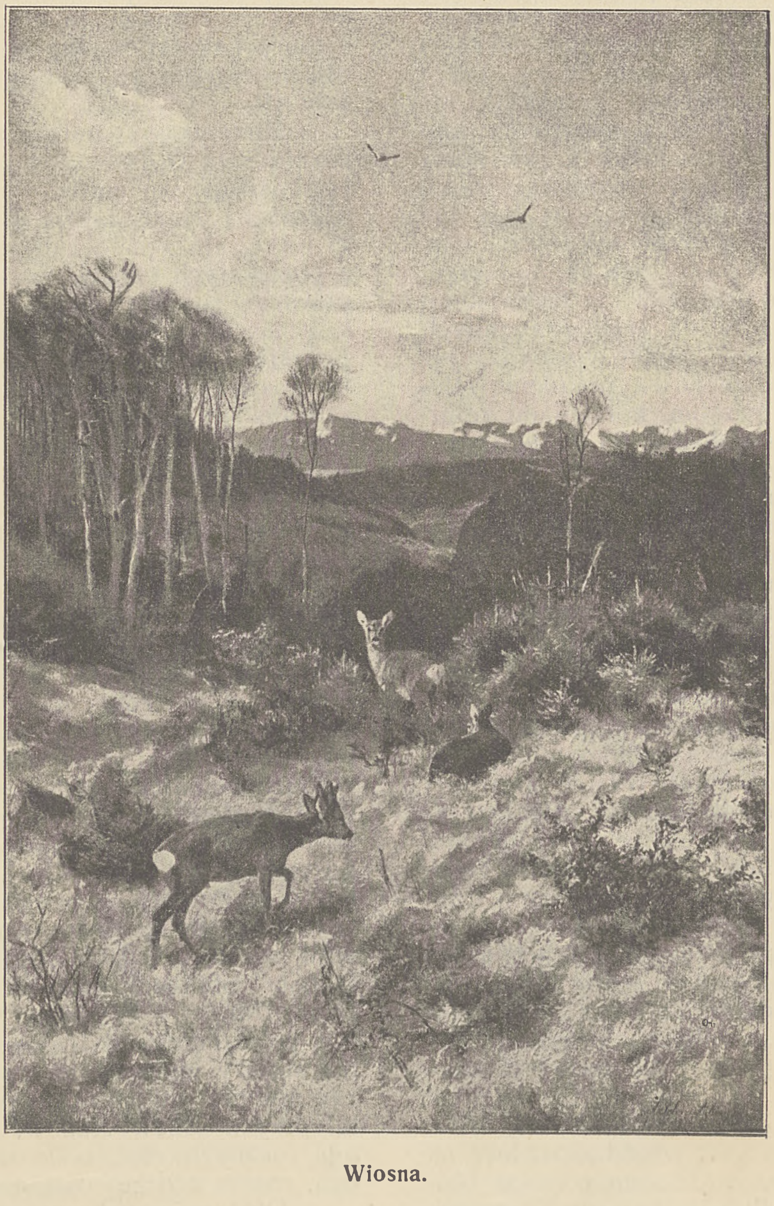
Z tych to lasów powstały po przesunięciu epoki lodowej i ustaleniu się klimatu umiarkowanego dzisiejsze lasy, najprzód przez rozsianie się ich na podścielisku zwalonych przez lody i obróconych w miał próchnicowy lasów poprzednich, które wraz z osiadłym jednocześnie z płynących wód i lodów mułem piaskowym lub glinkowym utworzyły podłoże podatne do przyjęcia nasion i wzroślu drzew, następnie przez ciągłe odnawianie się następujących po sobie pokoleń.

Pierwotne więc lasy w Europie środkowej i północnej, praprzodkowie naszych, powstały, wyrażając się według tegoczesnej nauki, z samosiewu w rębie czystym, wykonanym przez warstwy lodowe ze ściany lasu ciągnącego się szerokim pasem na pasmach gór karpackich i alpejskich lub kępami na mniejszych odnogach tych gór, a przytem i w układzie łącznym, nie przerywanym, gdyż każdy pas istniejącego lasu dojrzałego mógł obsiać sąsiedni pas ziemi czystej tylko na pewną szerokość, na którą sięgały nalatujące nasiona, a dopiero ten nowopowstały pas lasu dojrzawszy, obsiewał następujący za nim pas czysty na podobną od jego brzegu odległość, i tak dalej. Przerwy w tych pasach lasów stanowiły tylko przestrzenie nizinne pokryte wodami, które, gdy z czasem po obniżeniu się ogólnem stanu wód zbytnią wilgotność utraciły, albo pokryły się lasami liściastemi i mieszanemi, albo, jeśli rośliny trawiaste i zielone zdążyły się na nich wcześniej rozsiedlić, pozostały niezalesione jako łąki, smugi lub stepy pastwiskowe.

Taki stan rzeczy trwał do czasu, dopóki nie osiedliły się i nie rozmnożyły wśród tych lasów, wód i łąk plemiona ludzi i dopóki kultura ich nie rozwinęła się do tego stopnia, że budowali już sobie chaty z drzewa, umieli wytwarzać i używać ognia, przyswoili bydło do robót polnych i zaczęli uprawiać rolę pod zasiew zbóż. Pierwotny system uprawy roli pod zasiew zboża polegał na wykarczowaniu wśród lasu przez wycięcie i spalenie drzewa pewnej przestrzeni mogącej swemi produktami wyżywić jednę rodzinę, na której to polance rodzina ta budowała sobie chatę, Jako typ takiej zamiany stopniowej obszarów leśnych na pola orne i inne użytki rolne może posłużyć opis tego procesu, który w naszym kraju dokonał się najpóźniej, bo dotrwał aż do 1864 r. to jest do uwłaszczenia włościan, na ogromnej przestrzeni przeszło stu tysięcy morgów lasów rządowych, tworzących w owym czasie dwa leśnictwa Ostrołęckie i Nowogrodzkie. A ściśle biorąc proces ten trwał tam aż do roku 1875, bo tabele włościańskich uwłaszczonych gruntów zostały ostatecznie sformowane w 1869 r. i dopiero wtedy włościanie dowiedzieli się dokładnie, że po za gruntami już wyrobionemi i użytkowanemi reszta lasów jest rządowa i krudowana już być nie może, krudunków jednak nie zaprzestali aż do roku 1875, pomimo zakazu i nakładanych kar.

Otóż, jak opisał Połujański w „Wędrówkach po guberni Augustowskiej“ w roku 1858, i jak to sam po części sprawdziłem z opowiadań tamecznych starców włościan, zarządzając lasami Ostrołęckiego leśnictwa od r. 1866 do 1877, puszcze leśne Ostrołęcka i Nowogrodzka, zresztą łączne z sobą, były do początku XV wieku prawie bezludne. Były to lasy królewskie, w których na początku owego wieku zaczęli się osiedlać pojedynczy bartnicy, rozumie się z rodzinami, gdyż w lasach nieużytkowanych od wieków, a zatem przestarzałych, w wypróchniałych szparach i dziurach sosen rozmnożyły się obficie pszczoły. Władze królewskie, w celu poparcia osadnictwa i wytworzenia miejscowej ludności, niezbędnej dla królewskich polowań, wydały prawo do-

zwalające krudunku lasów i zamiany na użytek rolny, bez ograniczenia wszystkich osiedlającym się w puszczach i użytkowania z barci w bliskości miejsca osiedlenia znajdujących się, z obowiązkiem tylko składania urzędowi królewskiemu pewnego podatku w miodzie i dawaniu pomocy przy polowaniach króla. Gdy się ilość bartników z czasem zwiększyła, cała puszcza została podzielona na ostępy, oznaczone na granicach zaciosami, z których każdy był w użytkowaniu osobnego bartnika. Z czasem przez rozrodzenie się rodzin bartników powstały obok pierwotnych pojedynczych osad wioski złożone z kilku, potem kilkunastu a następnie kilkudziesięciu osad, z których każda wyrabiała sobie wśród przeznaczonego dla niej ostępu taką ilość roli i łąk, jaka jej do zasiewu zbóż na wyżywienie się była potrzebna. Zanim jednak jakakolwiek kultura rolna, to jest pojęcia o kolejnym siewie różnych rodzajów zbóż, ugorowaniu i zasileniu ziemi nawozem zwierzęcym rozwinęły się, cały system gospodarczy polegał na tem, że po wyjałowieniu nowiny przez kilkunastoletnią uprawę zapuszczano ją na las, a na jej miejsce wyrabiano z lasu inną, co przy zupełnej wolności wycinania i palenia lasu nie było zbyt trudnem.



Wiosna.

Że w taki sam sposób powstawały wszędzie wśród lasów pierwotne gospodarstwa rolne, mamy dowód w tem, że w całej Europie środkowej, nietylko u nas, natrafiamy dziś jeszcze na rozmaitej wielkości przestrzenie wśród obszarów leśnych pokryte także lasami, powierzchnia których zachowała do dziś najwyraźniejszy kształt zagonów. Tylko ten proces kolejnej zamiany lasów na pola, i następnie pól na lasy odbył się o parę wieków wcześniej w lasach położonych na równinach i wogóle na ziemiach lepszych, zdatniejszych do uprawy rolnej niż leśnej, gdzie też z tego powodu prawidłowe odgraniczenie roli od lasu i skasowanie szachownicy roli z lasem nastąpiło już dawno. W lasach zaś wzrosłych na wzgórzach piaszczystych, przerywanych bagnami i nieobszernemi wśród nich grądami, równin, jak to miało miejsce w puszczach Ostrołęckiej i Nowogrodzkiej, w lasach Wołyńskiego Polesia i guberni Mińskiej, proces tej zamiany i rozgraniczenie między lasem i użytkami rolnemi jeszcze do dziś ostatecznie zakończony nie jest.

Rozważmy teraz, do jakiego naukowego rodzaju rębów zaliczyć należy takie wyręby lasów na pola i następnie zapuszczanie tych pól na las w celu zalesienia ich naturalnym samosiewem ze ścian otaczającego drzewostanu. Bezwarunkowo tylko do rębu czystego w układzie łącznym, bo jeśli pole zapuszczone było dosyć szerokie, a wązkie być nie mogło, bo na niem wśród wysokich ścian sąsiedniego lasu rzucających z dwóch stron cień zboże by się nie rodziło, zasiew następował nie odrazu na całej szerokości pola, lecz pasami, najpierw blizko ścian lasu, a potem coraz dalej ku środkowi.

A czy możemy określić obecnie, jakie to były pod względem zwarcia, wyniosłości i masywności te drzewostany, które wychowała natura bez udziału człowieka? Co do lasów wyhodowanych po przejściu epoki lodowej nie możemy żadnego bezpośredniego o tem mieć pojęcia, bo od owej pory natura wyhodowała już kilkadziesiąt, a może kilkaset pokoleń drzewnych, możemy jednak na podstawie wiadomych danych i logicznej dedukcji postawić dosyć pewny wniosek, że pierwsze pokolenie stanowiły drzewostany rozsiedlone obok da-

wnych lasów w szerokich pasach o pełnem zwarciu i niewiele różniące się wiekiem w każdym pasie wziętym po szczególe, i o wspaniałym wzroście, do którego się przyczyniła niewyczerpana siła ziemi utworzonej z namułów wodnych, zmieszanych z grubą warstwą próchnicy, powstałej ze zgnicia zwalowych lodami starych lasów. Wszystkie następne pokolenia aż do czasu rozgospodarowania się w nich ras ludzkich powstawały na ruinach poprzednich, a jaki był stan i wygląd, możemy już dokładnie określić, gdyż do obecnego czasu dotrwały jeszcze spore przestrzenie lasów nietkniętych siekierą w północnej Ameryce i Syberji. Lasy to są przeważnie stare, pełne gąszczów trudnych nawet do przebycia, ale jaki w nich bezład, chaos i mieszanina kęp wspaniałych drzewostanów obok kępek przygłuszonych młodników najrozmaitszego wieku i obok halizn zawalonych gnijącemi lub już przegniłemi strzałami wywróconych przez wiatry starodrzewów albo pokrytych kępami krzewów, a wszystko to przekrywane trawiastemi smugami i bagnami. A na tych przegniłych klocach drzew i kupach gałęzi wprawdzie już pojawia się tu i owdzie nowe pokolenie młodego lasu i sili się przebić korzeniami zmurszałe drewno, aby się dostać do stałego gruntu, ale ileż to lat, raczej dziesiątków lat kazała natura czekać nowemu pokoleniu na to przegnicie przygotowawcze kloców niedopuszczających nasion do ziemi!

Nie zaprzeczam, że pod względem estetycznym są prześliczne i godne zachowania i opieki takie stare zabytki przyrody, jak np. pozostawiony na pamiątkę przez hr. Adama Stadnickiego w lasach Nawojowskich (w Galicji) zakątek, zwany Barnowiec, gdzie wśród głazów, rozpadlin i skał są wiekowe imponujące olbrzymy, świerk i jodła o 1—2 metrowej średnicy i 50 metrach wysokości. Ale estetyka takiego widoku tkwi nie w przegniłych i zwalonych takich kolosach obok jeszcze stojących zdrowych, tylko w estetycznych konturach głazów, skal i urwisk i w tem, że na tych zgniłych klocach pojawiło się już nowe życie, świeża, powołująca te trupy do nowego życia zieleń młodziutkich świerczków i jodełek. A ileż lat ten zabytek przyrody był tylko cmentarzem, grobem dla zmarłych starców, a żerowiskiem dla mnogiego robactwa! Przynajmniej lat 20. Podobny zabytek, tylko mniej estetyczny, bo nie wśród skał, lecz na równej płaszczyźnie, widziałem w roku bieżącym w dobrach Milanów, księżny Czetwiertyńskiej, gdzie na 22 morgach rosła dobrze już podmurszała kępa drzewostanu złożonego z dębów 400—500 letnich i sosen 200—300 letnich z pojedynczemi tu i owdzie, mniej staremi brzozami i olszami.

Właściciele oddawna szanowali ten zwany przez nich gaj, który zwarciem swojem, dającem mocny cień, dowodził, że rąbano tylko to, co samo uschło. Tymczasem 2-go lipca r. z. przyszła gwałtowna burza i blizko połowę drzew położyła trupem, wyrywając przeszło 800 sztuk z korzeniami. W zachowaniu tego lasu nie było względów estetycznych, bo drzewa zgarbione i rozrosłe w potężne, ale powykrzywiane konary oraz podziurawione od murszu i kucia w nim dzięciołów nie miały kształtów, zgodnych z wymaganiami estetyki; było tylko poszanowanie dla starców, imponujących powagą swego wieku.

Sądzę, że nie potrzebuję dowodzić, że tego rodzaju naturalne odnowienie lasu samosiewem na przegniłych klocach od starości drzew, chociaż je natura przeprowadziła na całej kuli ziemskiej w ciągu wielu tysięcy lat z dobrym skutkiem, nie może być wskazówką dla stosowania go w naszych gospodarstwach leśnych.

Rozpatrzmy nareszcie, jak się natura rozrządzała w lasach od czasu, kiedy ludzie, rozmnażając się coraz więcej, nietylko wycięli znaczną część lasów dla zamiany na użytki rolne, ale rozpoczęli jeszcze użytkowanie z pozostałych części, czyli zaczęli prowadzić pewnego rodzaju gospodarstwo leśne. Przez kilkanaście stuleci aż do XVII, a u nas aż do początku XIX wieku użytkowanie z lasów, bo gospodarstwem nazwać go nie można, zasadzało się tylko na wybieraniu uschłych i powalonych przez wiatry drzew, a w braku takich pojedyńczych, starych, murszejących, ale smolnych sztuk na opał, a na budowle i gospodarskie potrzeby, o ile nie wystarczały wyręby części lasów zamienianych na użytki rolne, bo zamiana ta ciągle jeszcze się prowadziła przez sprowadzanych w tym celu kolonistów niemców, na wybieraniu po całej przestrzeni pojedynczych sztuk, odpowiadających wymiarami potrzebie. Okolice małoleśne i miasta zaopatrywały się przez kupno w lasach rządowych lub prywatnych wskazanych do wyboru pojedyńczych sztuk po całych lasach, lub jakiejś ich części. Największe miasto Warszawa opalało się drzewem dostawianem drogą wodną w klocach pod nazwą browarki z lasów rządowych, a browarka ta były to kloce wyrzynane na 24 stopy długo ze starodrzewów sosnowych 200—300 letnich, których była taka obfitość, szczególniej w leśnictwach Brok, Udrzyn i Wyszków nad Bugiem i Narwią położonych, że jeszcze do dzisiejszej pory nie zostały wyczerpane, tylko, że od roku 1866 zaprzestano wybierać je pojedynczo zpośród młodszych drzewostanów, a wyrąbują się koleją rocznych cięć, o ile w granice ich wchodzą, razem z drzewostanem tych cięć.

Otóż w owych czasach, kiedy użytkowano z lasów wyłącznie przez wybieranie z istniejących wówczas drzewostanów pojedynczych sztuk, przeważnie starodrzewów lub takich, które miały wymiary specjalnie do danej budowy potrzebne, to jest kiedy dziurawiono całe lasy, a nie podejmowano żadnych starań, aby utworzone przez taką wybiorkę luki i halizny zalesić, zadaniem natury było te porobione w drzewostanach dziury załatać zasiewem młodego lasu takiego rodzaju, jakiego był las otaczający puste place. Że się natura

wywiązała z takiego obowiązku, o ile człowiek jej nie przeszkodził, niema żadnej wątpliwości, gdyż natura jest hojna i cierpliwa, nasiona sieje masami, a z czasem się nie liczy, siew powtarza póty, póki nareszcie nasiona nie wzejdą i nie wydadzą nowego pokolenia i to tak gęsto, że jeśli jedno drzewko ze stu wzrośnie należycie, to już ich na danem miejscu będzie dosyć. Ale gdy się po kilkunastu latach przyjrzymy, tej pracy natury, to jest jej rezultatom, to przekonamy się, że na tych lukach, na których nie zostały zniszczone zasiewające się drzewka przez paszę bydła, pożar, czy inne przyczyny, powstała nowa młodzież w większości wypadków w rodzaju drzew otaczających rodzących już nasiona, czasem innych przyniesionych wiatrem zdala, czasem tylko krzewów panujących w podszyciu drzewostanu, ale zawsze ta młodzież będzie na małej luce przytłumiona wskutek zbytniego ocienienia i wysokim obocznym drzewostanem i rozrastającemi się do wewnątrz luki gałęziami tego drzewostanu. Na większych zaś lukach, które zowiemy już haliznami, cały środek jej będzie pokryty wesoło rosnącą prawidłową młodzieżą, cały zaś nadbrzeżny okólek halizny mniej więcej na 4 do 5 kroków od ścian wysokiego lasu będzie pod ścianą wystawioną na południe bezwarunkowo pusty, a pod innemi ścianami pokryty młodzieżą wiotką, przytłumioną i słabo rosnącą. Jeżeli zrewidujemy np. haliznę, mającą sto prętów kwadratowych przestrzeni, a kształt zbliżony do wydłużonego prostokąta o szerokości 4 pręty a długości 25 prętów, to znajdziemy na niej pasek o szerokości pręta od strony północnej, czyli 25 prętów kw. puste, takiż pasek od strony południowej, czyli drugie 25 prętów pokryte młodzieżą przytłumioną i nie wartą dalszego hodowania, a tylko 50 prętów, czyli połowę halizny, zalesioną prawidłowo. W najpomyślniejszym wypadku, jeśli halizna była kształtem zbliżona do kwadratu lub koła, to jest jeśli bok kwadratu miał długości 10 prętów, pasek prętowej szerokości naokoło kwadratu w części pusty a w części pokryty przytłumioną bez wartości młodzieżą, będzie miał 40 prętów kwadr. przestrzeni obok 60 prętów dobrze wzrosłej młodzieży. Czyż takie łatanie lasu poprzerywanego przez ludzką gospodarkę lukami i haliznami przez naturę może być dla nas wzorem do naśladowania? *(D. c. n.)*.

Murszywe skrzypki...

Gdzieś w życiowej poniewierce
Majster, nazywany **Serce,**
Dziwną skrzypkę mi skołacił:
Smutkiem duszę nią wzbogacił.

Wziął murszywą sosnę pierwej,
By targała lepiej nerwy,
I wykroił denko górne,
By dawało dźwięki chmurne.

Zaopatrzył drugiem denkiem
Z deski dęba z czarnym sękiem,
Potem boczne zrobił ścianki
Z zgniłej olchy z nad polanki.

Dalej łzy naciętej brzozy
Zmieszał z próchnem starej łozy
Klej otrzymał z tego przedni:,
Do mej skrzypki odpowiedni!...

Potem szyjkę wyciął z klona,
Dał zakrętki dwa z jesiona,
A dwa drugie, warte krocie,
Z znalezionej lipy w błocie.

Z starych trepek znalazł łyko,
Co leżały w bagnie dziko,
Skręcił struny—i gotowe
Moje skrzypce koncertowe.

By dorobić w końcu smyka:
Raubszycowi podarł wnyka,
Stary stempel wziął w oprawę,
I zakończył całą sprawę...

Nie pomstujcie, bracia leśni,
Gdy fałsz skrzypki dadzą w pieśni,
Bo już wiecie, z czego **serce,**
Zrobiło je w poniewierce. .

Mścisław Godlewski.

Łowiectwo, zwierzostan, oraz obecna gospodarka leśna.

(*Dokończenie*).

Obstaję przy przekonaniu, iż poprostu każda różniąca się od otoczenia pojedyncza odmiana, lub też grupa wywiera przyciągający wpływ na kozła lub jelenia. Na zasadzie tych spostrzeżeń należy tego rodzaju drzewa pojedyncze, lub ich grupy, o ile posadzenie ich ma być skuteczne, ochraniać. Poleca się smarowanie ich przykro pachnącemi materjałami, owijanie skrawkami papieru (kolorowego), otaczanie palikami. Uważam opalikowanie za środek najpewniejszy, mianowicie polecam używać do tego celu tylko *jednego* palika. Z gąszczów sosnowych wycina się dobrze ugałęzione pniaczki o 3 — 5 cm. średnicy, gałęzi się nie obkrzesuje, lecz nożycami ogrodowemi ucina na 30 — 35 cm. i wbija odwrotnie w ziemię tuż przy mającem być chronionem drzewku. Kozioł naturalnie będzie szukał ofiary, pomiędzy innemi nie chronionemi drzewkami, lecz coś wszak mieć musi, by wytrzeć swe konary do czysta i doprowadzić je do pożądanego stanu. Wówczas mój nóż kieszonkowy usunie podczas obchodów rewiru uszkodzone flance, szczególnie przy drogach i na brzegach lasów; tym sposobem pozostanie i dla niepowołanych niewiadomem miejsce przebywania rogacza.

Gdy pojedyncze miejscowości leśne, większe, kultury szczególniej bywają narażane na ogryzanie, pochodzi to często stąd, iż modna gospodarka leśna nadto się daje opanowywać metodzie wyrębu w pień; wyrębuje się wielki obręb, drzewo leży wszystko razem, robota, kontrola wywozu jest łatwiejszą. Po zagajeniu powstają wielkie, pozostające w łączności gąszcze, w których się gromadzi zwierzyna. Ggy zaś wychodzi na żer w przyległe pola, łąki oraz przestronne starsze drzewostany, by się wydostać z wyższych gąszczów musi przejść przez otaczające wokół młodsze gęstwiny. Łakomi się wtedy zwykle na pędy drzewne, chociażby obok rosła najwięcej soczysta trawa, o ile tylko nie panuje zbyt silny mróz. Ponieważ zaś zwierzyna lubi przebywać w stanie względnego zrzeszenia, więc i szkody są więcej skoncentrowane i dotkliwsze.

Radzę przeto *we wszystkich wypadkach, gdy tylko to będzie możliwe*, korzystać z naturalnego odmładzania. Tego ostatniego zaś nie możemy uskuteczniać, jak uczy doświadczenie, na zbyt obszernych, przylegających do siebie przestrzeniach. Musimy się troszczyć przedewszystkiem o liczne punkty zaczątkowe w rębnych drzewostanach i wszędzie zaprowadzać naturalne odmłodzenie, by je móc dalej stosować z nadejściem lat nasiennych. Wymaga to jednak troskliwej uwagi i przeprowadzenia systematycznej sieci dróg wśród całego rewiru, by umożliwić wywóz drzewa zewsząd i, wskutek dobrych warunków transportowych, móc osiągnąć dobre ceny. Dobra sieć drogowa ułatwia polowanie, jak również i ochronę leśną i myśliwską. Zapewne, iż naturalne odmładzanie stawia wyższe wymagania znajomości fachu i przyczynia więcej pracy; lecz przy prawdziwem zamiłowaniu do leśnictwa i namiętności do myśliwstwa wszystko da się pogodzić.

Przez stworzenie możliwie rozrzuconych gąszczy, rozbija się również i zwierzyna, a zatem i szkody, co daje pomyślne widoki skuteczności pracy przy odnowieniu lasu. Wszędzie ukażą się krzewy leśne. Jeżeli, jak to bywa przy sztucznem odmładzaniu, są wielkie gąszcze w jednym wieku i jeżeli wówczas krzewy leśne poczynają je przytłumiać, należy wówczas zarządzić wyrąb na całej przestrzeni. Inaczej się dzieje w małych, naturalnie się odnawiających młodniakach; jest tu możliwe usunięcie głuszących krzewów pasami z pośród wyżej rosnących młodniaków; zwierzynie zaś to da zimą nieocenioną możność pasania się karmem naturalnym. Ze względu na zwierzynę zarządza się, o ile to tylko możliwe, wyrąb krzewów leśnych dopiero zimą.

Gdyby w miejscowościach z naturalnem odmładzaniem okazała się potrzebna ochrona przeciwko ogryzaniu, to należy ochraniać tylko drzewka w pewnych odstępach, pozostałe zaś nadetatowe, niechaj będą sobie ogryzane.

Wspomnę o gatunku drzewa, które obecna modna gospodarka leśna coraz więcej ruguje, mianowicie o świerku. Gdzie się prowadzi sztuczne odmładzanie byłych sosnowych i świerkowych drzewostanów, musi świerk, ze szkodą dla naszej zwierzyny, stopniowo zaginąć. Chociażby ilość drzewa świerkowego była mniej pożądaną, to jednakże powinniśmy wszędzie tam, gdzie natura umieściła sosnę razem ze świerkiem, podtrzymywać to połączenie. Świerk odmładza się coprawda nader trudno i powoli i bywa narażonym w zwiększonym stopniu na ogryzanie przez zwierzynę. Jeżeli przeto nie chcemy, lub też nie możemy w naszych pośpiesznych czasach, oczekiwać na powolne odmłodzenie naturalne świerku, wówczas polecam świerk jako dwuletnią flancę wsadzić wśród starego drzewostanu tuż przy stojącym pniu, między korzeniami. Ta metoda sprawia małe koszty, ochrania trochę wrażliwą na mróz flancę i chroni ją z jednej strony przeciwko ogryzaniu, a przytem i grunt tuż przy pniu drzewa jest w odpowiednio dla młodej flancy spulchnionym. Przy ścinaniu starego drzewa należy postępować jednak o-

strożnie przez wzgląd na młodzież, chociaż zauważyłem w praktyce, że świerkowe drzewostany, nadwyrężone przez spuszczanie starych drzew i ogryzanie przez zwierzynę—skoro tylko zostaną odsłonięte i wyrosną ponad pysk zwierzyny — uszkodzenia owe przedziwnie wyrównywają. Zapewnijmy tylko wszelką miarą domieszkę świerków, wówczas potomkowie nasi zachowają dla nas wdzięczność, my zaś odczuwać będziemy niewymowne dzięki naszej zwierzyny.

W wielu okolicach bywają świerki nawiedzane przez *viscum album*; wtedy wartość drzewna cierpi. Gdzie więc z tą plagą należy się liczyć, radzę w drzewostanach zbierać ów pasożyt i umieszczać w miejscach, gdzie niema świerków, lub też gdzie warunki pastewne są uboższe, lub nawet chować je w celu późniejszego opasania; stosownie do mych obserwacji bywa ów pasożyt chętnie spożywany przez zwierzynę.

Gdzie kultury idą zbyt tępo, radzę spróbować żarnowca; wywiera on często pomyślny wpływ na wzrost flanc, pędząc je do góry i chętnie bywa przez zwierzynę spożywany.

Gdy zreasumuję swe wywody, myślę, iż wykazałem, że leśnik może polepszyć warunki życia, oraz pokarmu dla zwierzyny przez pielęgnowanie naturalnego odmładzania, przez zaprowadzenie mieszanych drzewostanów liściasto-iglastych bez nadmiernych kosztów i nie narażając się na przyganę, iż dla zwierzyny zaniedbał wymagań leśnictwa.

Wspomnieć chciałbym jeszcze, iż nie zawsze bywa słuszne dążenie do zalesienia każdej łąki i pola pośród lasu. Choćby z estetycznego punktu widzenia, często okaże się takie pozostawienie łąk leśnych etc. dochodowo uzasadnione. Jeżeli jednak sprzęt nie bywa każdorazowo sprzedawany, przestrzeń zaś daną wydzierżawia się z góry, wówczas postąpimy dobrze, gdy wydzierżawimy tereny bez prawa na odszkodowanie za szkody wyrządzone przez zwierzynę.

Powyżej skreślonemi środkami nie wyczerpuje się jednak wszystkiego, co można uczynić dla naszej zwierzyny. Myśliwy i leśnik musi dbać nadto o karm i powodzenie zwierzyny, przy pomocy zaprowadzenia lizawek, legowisk, przez obsadzenie nieprodukcyjnych przestrzeni leśnych odpowiedniemi roślinami pastewnemi etc.; w czasach zaś ciężkiej biedy przy pomocy karmienia kasztanami, żołędziami, burakami i t. p. Jednakże bliżej w to wnikać nie będę, gdyż przekroczyłoby to ramy tych uwag.

Dbać należy tutaj o należytą pieczę łowiecką. Tu spotykają się często leśnictwo z myśliwstwem. Najczęściej nie może, lub nie życzy sobie właściciel lub dzierżawca polowania zajmować się tą sprawą osobiście. Przeto powierza pielęgnowanie i ochrony zwierzostanu ludziom, którzy przedewszystkiem swemi fizycznemi przymiotami odpowiadają żądanym wymaganiom, mają zamiłowanie i upodobanie do zwierzyny, a zarazem usprawiedliwiają położone w nich zaufanie. O ile nie trzyma się specjalnych strzelców, wówczas najczęściej używa się urzędników leśnych, którzy stosunkowo do obszaru, bywają używani do zarządu polowaniem, lub do ochrony łowieckiej.

Właściciel polowania zwykle spodziewa się, iż jego funkcjonarjusze tak będą dbali o zwierzynę, jakby była ich własnością, jak gdyby z zagrożeniem zwierzostanu było zagrożone ich własne myśliwskie upodobanie i zamiłowanie. Skuteczna ochrona myśliwska musi być bezwzględną, nawet z narażeniem własnego życia, jak to liczne fakty stwierdzają.

Mojem zdaniem nie wystarcza, gdy właściciel wynagradza swych funkcjonarjuszów odpowiednią pensją; prawdziwie skuteczną ochroną łowiecką oraz intensywną pielęgnację zwierzyny zapewnia sobie tylko wówczas, gdy potrafi obudzić w swych urzędnikach osobiste zainteresowanie w ochronie i utrzymaniu zwierzostanu, zainteresowanie, które się będzie okazywało w pełnieniu obowiązków i nawet więcej.

Zainteresowanie i zamiłowanie musi być rozbudzone stosownie do stanowiska, przez pozostawienie i dozwolenie, chociażby liczebnie ograniczonego odstrzeliwania, niekiedy nawet w czasie bekowiska lub tokowiska. Gdyż właściciel, oczekujący od swych funkcjonarjuszów, by kochali myśliwstwo tylko patrząc na celne strzały, nie może od nich wymagać, by wraz z nim się cieszyli, gdy mu się szczęście łowieckie uśmiechnie, by okazywali zapamiętanie łowieckie, gdy chodzi w danym razie o ochronę jego zwierzostanu nawet kosztem życia.

Jeszcze słów parę do panów leśników uczących.

Młody człowiek dobrowolnie się poświęcający leśnictwu, przynosi z sobą zamiłowanie lasu, myśliwstwa i natury. Pielęgnujcie to zamiłowanie podczas całej jego leśnej karjery. Wychowajcie go na dzielnego leśnika, lecz nietylko w kancelarji; uczcie go jaknajdokładniej obserwować tak życie roślin, jak i zwierząt i wyciągać ztąd odpowiednie wnioski, uczcie go obchodzenia się jak prawemu myśliwemu przystoi, z fuzją i sztucerem, wzniećcie w nim przedewszystkiem energiczne opanowanie samego siebie, uczciwości, obowiązkowości i głębokiego poczucia odpowiedzialności, gdyż las i zwierzyna to powierzone wartości wysokiego znaczenia. Przez takie wychowanie leśniczej młodzieży zapewnia się najlepiej odpowiednie naturze zachowanie i pielęgnowanie zwierzyny połączone z dążeniami obecnej gospodarki leśnej i leśnik pozostanie jak dotąd najbardziej powołanym przedstawicielem ku utrzymaniu naszej rodzimej flory i fauny.

Gdy leśnik nakazuje roboty leśne w czasie lub w miejscu takiem, by tylko przeszkodzić w polowaniu myśliwemu, lub ostatni wyzuwa leśnika w jego własnym rewi-

rze z prawa samodzielnego polowania i t. p., wówczas takie postępowanie należy uważać jako osobiste starcia, z któremi moje wywody nie mają nic wspólnego. W razie taktu osobistego, braku egoizmu i przy prawdziwie myśliwskiem wychowaniu są takie rzeczy stanowczo wyłączone.

Wł. K...i.

Czy lis zawsze bywa ojcem zwyrodniałym?

Bardzo często bywa wszczynana na łamach pism łowieckich kontrowersja, czy lis jest dbałym i troskliwym ojcem rodziny, czy też nie jest nim; lecz powód jej polega w tem tylko, że lisa zbytnio identyfikuje się pod tym względem z psem, jako jego blizkim powinowatym. Pies, przynajmniej w dzisiejszym stanie przyswojonym, jest donżuanem, który się ugania za byle „podwiką", lekko-duchem, który o to, co się stanie później z owocem jego amorów, tyle się troszczy, co „o piątą nogę." A pomimo to zdarzają się nieraz wyjątki między tymi zdecydowanymi wielbicielami kodeksu Napoleona, o ile on zawiera znaną, a u licznych rzesz „generis masculini" i to nawet „humani" wysoce cenioną maksymę: „La recherche de la paternité est interdite."

Podarowano mi razu pewnego, w czasie mego pobytu w Ameryce Południowej, parkę czerwonych jamników, które obdarzyłem arcypoetycznemi, a wygląd ich znakomicie określającemi imionami: „Cybulka" i „Serdelek." Żyły tam ze mną w zupełnem odosobnieniu i na całe mile w okrąg w oddaleniu od reszty przedstawicieli szlachetnego rodu „canis."

Kiedy się już spełnił czas, powiła moja „Cybulka" cztery maleńkie „Serdelątka", które w pierwszych dniach swego psiego życia tak znakomicie się rozwijały, że aż się serce radowało. „Spust" miały lepszy jeszcze, niżli ja sam, a to wobec tam panujących „psich" upałów chyba coś znaczy.

Wtem, pewnego smutnego poranka, wpada do mej hacyendy, na twarzy biały jak swieżo wapniona ściana, mój — równocześnie — paź, forczpan, groom, strzelec nadworny i towarzysz, niestety trochę ślamazarny syn, podobno hiszpańskiego ci devant imigranta, i jakiejś tam wiedźmy indyańskiej, żującej wciąż swoje „mattee"' i żąda stanowczo i dobitnie mej „nigdy niechybiającej (verbotenus) strzelby", aby z niej natychmiast zastrzelić mego ulubionego wierzchowca „Zaino."

Przekonany, że to w mózgownicy tego osmolonego hultaja obluźniło się kila śrubek, odebrałem mu przedewszystkiem jego nóż, który mu na dwie stopy z za pasa sterczał, a potem zapytałem: „No, i czemu to?" — „Ponieważ „Zaino" wpadł do ogrodu."

Kilka podeptanych kierzków ziemniaków nie wydawały mi się dostatecznym powodem do wymierzenia na złoczyńcu doraźnej, a nawet wedle pojęć „gauchów", dosyć surowej kary. — „Zabłądził w pobliże budy Cybulki."

Począłem mu się baczniej przysłuchiwać. — „Więc czemu nie wsoliłeś mu batem kilku bizunów?" — „Bo już go „Serdelek" wygonił." — „Tedy wszystko w porządku."— „Wcale nie w porządku. — Nie ma już więcej ani „Cybulki" ani dwóch „Serdelątek" — "Coooo..?" — „Tak jest! Najprzód zadepnął „Zaino" dwa „Serdelątka", a potem łupnął kopytem w łeb „Cybulkę" gdy go w nogę ukąsiła." —

Nie chcę długo opowiadać, jak ukarałem „Zaina"; dodam tylko, że nie prochem i kulą.

Ponieważ jako stary kawaler nie posiadałem w całej mej hacyendzie „cycmola," użyłem w zastępstwie jego wskazującego palca potomka szlachetnych hidalgów. (Naturalnie palca nie odciąłem mu, lecz pozostawiłem nadal tę ozdobę przy jego potężnych rozmiarów łapie.)

Zaledwie dwa dni minęły, zbladł i zeżółkł on (t. j. cycmol alias palec, a nie cały mój hidalgo) i gdyby nie noce nader wówczas chłodne, kwestja wychowania pozostałych mi dwóch „Serdelątek" byłaby w pomyślny sposób i ostatecznie już załatwioną, dzięki temu, że i w Ameryce nigdy się nie rozstawałem z owemi delicjami psiemi z znanej fabryki Spratta.

Pomimo, że moją tak zwaną kuchnię przez całą noc ogrzewać kazałem suszonym krowieńcem, jedynym w tym bezdrzewnym stepie materjałem opałowym, wyprawiały mi te sierotki bez matki taki pisk i kwik, że po twardej całodziennej pracy, pomimo nerwów, jak pomimo najszczerszych chęci, niemo głem zasnąć. Już myślałem o samobójstwie, to znów gotów byłem do Orku wysłać te dwa skomlące i piszczące psie bembasy, gdy wtem w sprawę się wmieszał i tatko, który aż do tej pory w ten sposób się zachowywał, jak ci, co — wedle słów tutejszych przyszłych matron — mimo przysiąg namiętnych, na pierwszym z brzegu okręcie na zawsze znikają.

A to tak się stało. —

Zbliżył się do budy, obwąchał gramolące się maleństwa, przyczem miał minę cokolwiek jakby niedowierzającą, którą podobno

czasem się spostrzega i u innych młodych ojców. Zaraz potem ufałdował czoło w gęste i głębokie bruzdy—znać mocno się skłopotał — i — rzecz nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa — wszedł, wyraźny jęk wydając, do budy, zesunął swych dwóch potomków na kupkę, i nie namyślając się długo, położył się na nich.

Już chciałem się wtrącić, lecz wnet wziął górę egoizm i pomyślałem: „Uduszone szczenięta tak samo nie piszczą więcej, jak utopione. Więc niech się stanie, co się stać ma". Lecz o dziwo, ani się nie podusiły, ani więcej nie piszczały, zato po krótkiej chwili wyskoczył z budy, jak strzała z łuku, tatko. Wygląd miał nieopisanie głupi, spoglądał całkiem stropiony na legowisko, które co dopiero opuścił i począł się skwapliwie oblizywać. Gdzie? No, tam, gdzie się tego w obecności młodych panienek, a nawet i starszych zazwyczaj nie czyni. Że młode jego potomstwo uważało dumną odznakę jego męzkości za nic lepszego jak palec owego hidalga, było co najmniej beztaktem, chyba, że te szczenięta były jeszcze do tego stopnia głupie, że nie umiały „połapać się" w zmianie okoliczności. Zresztą bywają brodawki matczyne odporniejsze i wytrzymalsze na dość ostre już kęsy, aniżeli..

Takie to myśli wyzierały ze wzroku pełnego oburzenia, którem pan „Serdelek" mierzył z ukosa nieopatrzną swą młódź. — Ale nie będę zbyt obszernie opisywał tej psiej sielanki. Prawdą tylko, że pomimo tych smutnych doświadczeń, które nagromadził podczas całkiem mu dotąd obcych funkcji jako ojciec przybrany, Serdelek bynajmniej nie zraził się i urząd swój, dobrowolnie przyjęty, sumiennie i z całem poświęceniem do końca spełniał. Znosił dziatwie różne przysmaczki, ogrzewał je, skoro skomleniem okazywały, że im zimno, ugryzł mamkę „numer pierwszy", skoro swym zabarwionym na jasno palcem wskazującym zwykłą swą



czynność uprawiać chciała, w on palec, słowem wychował „Serdelątka" swoje na „Serdelki" z pomocą naszą wspólną, t. j. moją i Spratta „puppy — biskuitów".

Drobną tę, a prawdziwą historyjkę, opowiedziałem na to, aby wykazać, że nawet w rasie psiej, od czasów niepamiętnych wyrwanej z pierwotnych swych warunków bytu, jeszcze nie zupełnie zamarły instynkty rodzinne, które w tym fakcie dobitnie się objawiają, że ojciec wtedy zawsze na posterunku staje, gdy siły matki do obrony albo do wyżywienia młodych nie wystarczają, albo, że miejsce jej zastąpić się stara, o ile może i umie, gdy śmierć przedwczesna wydarła ją dzieciom. Jeżeli zaś samce tutaj nie postępują sobie z bezwzględną sumiennością, jeżeli n. p. zapominają o obowiązkach, skoro im się nadarzy sposobność do zboczenia z drogi cnoty, to ztąd pochodzi, że one nie są jak samice, pod względem swego życia milosnego, ograniczone na pewien przez naturę określony czas, lecz owszem chętne, gotowe i zdolne są ulegnąć nadarzającej się pokusie i to każdej chwili i natychmiast. Tem samem wyrażam już, jak ja się na lisa jako na ojca rodziny zapatruję.

Lecz wiadomo, że tylko fakty mają znaczenie dowodu, dlatego przytoczę tu kilka zdarzeń z mej praktyki, które namacalnie wykażą, że lis żyje z liszką w zupełnej spólności i, jeżeli to już być musi, sam i wyłącznie nad swem potomstwem obejmuje pieczę. Co prawda dodać tu muszę, że wszystkie te przypadki zachodziły w okolicy, w której tylko bardzo mało było lisów, tak, że lis albo wcale nie, albo bardzo rzadko narażony był na kolizje uczuć i mało miał sposobności sprzeniewierzenia się obowiązkom małżeńskim i ojcowskim.

Przed mniej więcej trzydziestu laty oznajmił mi parobek mój, że w przepuście rowu nad wielce uczęszczaną szosą widział, jak się „coś" ruszało, i że to „coś" uważa za młode

lisy. Poszedłem z nim, zabrawszy kilka wiązek słomy do ewentualnego „wykurzania“, i nim pół godziny upłynęło, miałem istotnie dziewięć około dziesięciodniowych lisiąt w naplecniku. Zaczaiwszy się cichutko, ubiłem z zapadającym zmrokiem karmiącą liszkę, która bez łupu, z ostrożnością sznurując, zbliżała się, oczywiście, aby przedewszystkiem swoje młode wynieść z zagrożonej jamy lężnej w inne bezpieczne miejsce. Ponieważ jeszcze nie ściemniło się zupełnie, posiedziałem pewien czas, choć mało miałem nadziei, że się coś więcej nadarzy i nim kwadrans minął, miałem na pokładzie także i lisa, ktory z cyranką w kęsach wprost do przepustu zmierzał. O ile sobie uprzytomniam jego zachowywanie się i fakt, że w tej okolicy lisy są rzadkością, muszę mieć przeświadczenie, że ojciec, tak samo jak poprzednio matka, zabrać się chciał do przetransportowania młodych, tak jak je już poprzednio ulokował był w przepuście i sądzić, że gotów był postarać się o zapełnienie pustych żołądków członków swej rodziny.

Kilka lat potem przekonałem się, że w jednej ze starych nor, które czasami zajmowały króliki, mieściły się lisy. Wskazywał na to wyraźnie fetor przenikliwy, chmary gromadnic i leżące przed rurą wychodną niedogryzki zwierzyny. A że nie mogłem jamy odkopać, ponieważ leżała pod rolą już uprawioną, i że nie miałem jamnika, więc musiałem się starać sprzątnąć mikitę „na zasiadkę.“ Ledwo świt, udało mi się zastrzelić samca, właśnie w chwili, gdy chciał z młodym zajączkiem w kęsach czmychnąć w rurę (jama posiadała jednę tylko). Pewien, że i liszka niedaleko, spędzałem każdą chwilę wolną w pobliżu nory. W dwa dni po ubiciu lisa, w samo południe, wygramoliły się z nory dwa lisięta, zaledwie tak duże jak kuna. Zastrzeliłem oba.

W jesieni, po żniwach, rozkazał mój ojciec norę lisią zrównać z ziemią, ponieważ zagrażało niebezpieczeństwo, że na miedzy, pod którą się jama kończyła, łatwo mogły załamać się konie. W norze znaleziono wtedy ścierwa czterech lisiąt, tej samej wielkości, co owe dwa poprzednio przeze mnie zastrzelone, oczywiście zdechłych z głodu, ponieważ żadnych widocznych obrażeń na sobie nie miały. Zatem w tym przypadku opiekował się lis potomstwem sam, stąd wniosek, że prawdopodobnie liszkę poprzednio już gdzieś ubito; gdyby ona była jeszcze przy życiu, bez wątpienia byłaby się starała resztę młodych usunąć z zagrożonej nory i tegoby na pewno była dokazała. Bądź, jak bądź, nie pozwoliłaby im zniszczeć z głodu.

Niejeden jeszcze przykład mógłbym przytoczyć, aby udowodnić, że lis nie jest owym zwyrodniałym ojcem, za którego, zwykle bez racji, go się poczytuje, lecz obawiam się znużyć Szanownych Czytelników.

F. H.



Walka ze zwierzyną jako szkodnikiem leśnym.

Szkody, jakie wyrządzają kulturom leśnym najgorsi wrogowie: owady i grzyby, są nie wątpliwie ogromne, w każdym jednak razie nie tak wielkie, w porównaniu ze szkodami, jakie powoduje zwierzyna, zwłaszcza jelenie i sarny przez ogryzanie i obcieranie drzew. Faktem jest stwierdzonym, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci szkody te wzrosły niepomiernie, co zresztą jest objawem zupełnie naturalnym, gdy się zważy, że w tym okresie czasu wzrósł również znacznie zwierzostan w naszych lasach. Że tak się dzieje, o tem pouczają nietylko własne doświadczenia, ale i dociekania znakomitego autora niemieckiego Böriga, którego książkę, traktującą o zwierzynie, polowaniu i kulturze ziemi, polecić możemy czytelnikom naszym.

Patrząc ze stanowiska myśliwego i przyrodnika należałoby się tylko cieszyć ze wzmożenia się zwierzostanów; z punktu jednak ekonomicznego sprawa ta nastręcza wiele wątpliwości ze względu na szkody, wyrządzane przez ogryzanie, tarcie i zdzieranie kory. Szczególniej nadzwyczajne rozmnożenie się saren nie może być leśnikom obojętne: sarna jest w lesie stworzeniem daleko niebezpieczniejszem, niż to sobie zarwyczaj wyobrażamy.

Znaczenie lasu pod względem ekonomicznym jest bez porównania ważniejsze, aniżeli znaczenie polowania. Jeżeli zatem chcemy utrzymać las w odpowiednim stanie, to musimy dbać oto, ażeby pomiędzy zwierzyną i drzewami panowała harmonja. Jedno nie może szkodzić drugiemu, lecz przeciwnie, oba żywioły muszą się uzupełniać. Na rynku wszechświatowym ceny drzewa wzrastają ciągle i szybko, a same tylko Niemcy zmuszone są corocznie sprowadzać przeszło 14 miljonów metrów kubicznych drzewa. Dochody z lasu wzrastają wszędzie w sposób pocieszający; o ile też dawniej posiadanie lasu było tylko przyjemnością, o tyle dzisiaj las stał się bardzo poważnem źródłem dochodu, dając miljonom ludzi możność poważnej pracy i zarobkowania. Dzisiejsi właściciele lasów wymagają słusznie, ażeby kapitał przynosił odpowiednie procenta, wszystkie też siły bywają wytężane, ażeby wygospodarować konieczne zyski.

Jeżeli mówimy, że las dochody przynosić powinien, to rozumiemy zarówno drzewo, jak i zwierzynę, która musi się również podporządkować nowoczesnym wymaganiom. Zarządy leśne obowiązane są wygospodarować jak najwięcej, muszą też regulować stosunek zwierzyny do drzew, nie będą zaś mogły tego uczynić, gdy właściciele obszarów leśnych wydzierżawiają polowania. Jeszcze raz powtarzamy, że dochód osiągany z drzewa, tworzyć musi podstawę całego gospodarstwa leśnego, co nie przeszkadza jednak, że i zwierzyna powinna przynosić pewien dochód. Ażeby utrzymać harmonję pomiędzy drzewostanem a zwierzyną, ma zarząd leśny dwie tylko drogi do obrania. Albo zaprowadzić musi środki ochronne, uniemożliwiające zwierzynie niszczenie drzew (płoty, witerunki i t. p.) albo też musi zwierzostan tak zmniejszyć, ażeby szkody spadły do minimum.

Dobrze umiejący liczyć gospodarz leśny niechętnie skłoni się do przeprowadzenia w całej rozciągłości środków ochronnych, pochłania to bowiem znaczne ofiary pieniężne. Obierając zaś drugą drogę, należałoby zbytnio przetrzebić zwierzynę, i niejeden myśliwy i miłośnik przyrody stanowczoby się na to nie zgodził. W wielu wypadkach jelenie musiały by nawet zniknąć zupełnie. Taki środek radykalny przyczyniłby znaczne straty materjalne również naszym miastom, które już się przyzwyczaiły do spożywania mięsa zwierzyny.

Jak widzimy, kompromis jest bardzo trudny; ciągle też natrafiać musimy na różne sprzeczności. Pomimo to jest jednak sposób, który może połączyć z sobą obie drogi rozbieżne. Jeżeli widzimy, że drzewa i zwierzyna występują przeciw sobie wrogo, to dzieje się to dlatego, że gospodarstwo, przy tworzeniu lasów nowoczesnych, albo sprzeciwia się prawom natury, albo też te prawa lekceważy. Nie wnikając w rożnorodną istotę lasu, nie badając praw natury, sądzono, że można wytworzyć sobie formułkę i podług tego papierowego szablonu zaprowadzić gospodarstwa leśne. Przy biurku, na podstawie dokonywających się robót w lesie, zwykło się obliczać z góry dochody, wyznaczać poręby i zaprowadzać odmłodzenia, ażeby zawsze utrzymać drzewostan równomierny. W ten sposób przy drzewach iglastych zaprowadzono czyste zręby, zmuszające do sztucznego odmłodzenia i do wytwarzania czystych drzewostanów iglastych i liściastych. Zapewne, że utrzymanie porządku jest rzeczą konieczną, w wielkich zaś gospodarstwach leśnych do tego porządku szczególniejszą przywiązywać należy wagę, ale tak samo jak w każdej pracy buchalteryjnej, nie gospodarstwo leśne powinno się stosować do wymagań książkowości, lecz dziać się powinno odwrotnie.

Kto prowadzi wielkie gospodarstwo leśne podług pewnego, z góry określonego szablonu, ten musi zawsze narażonym być na poważne straty, jakie wynikają z nieuwzględnienia siły ziemi i momentów niesprzyjających wzrasta-

niu drzew. Wystarczy tutaj przytoczyć takie fakta, jak pogorszenie się gleby wskutek wytworzenia surowej próchnicy, albo szkody, które wyrządziły w ostatnich latach przeróżne owady. Nawet tam, gdzie las jest jednakowo uformowany i składa się z jednakowych co do wieku drzewostanów, trzeba zawsze spełniać nakazy, które wydaje sama natura. Natura też sama rozstrzyga kwestje strat, wyrządzanych przez zwierzynę.

Jeżeli szkody w lasach są wielkie, nie można tego zapisać jedynie na karb nadmiernego rozplenienia się zwierzyny. W owych czasach, gdy nasze dzisiejsze stare drzewa były jeszcze młodziakami, a więc przed 100 lub 120-tu laty, z pewnością w polskich lasach nie żyło mniej zwierzyny, aniżeli dzisiaj, a stan ten trwał mniej więcej do połowy przeszłego wieku, która zaznaczyła się prawie raptownem zmniejszaniem zwierzostanów. Czemuż to przypisać należy, że dawniej nie cierpiały drzewa tyle od zwierzyny, jak to się dzieje dzisiaj? Gdyby bowiem utrzymywanie zagajników miało być wówczas tak utrudniane, jak to się dzieje obecnie, stare drzewa nasze nie miałyby takiego pełnego zwarcia i nie mielibyśmy tylu gatunków szlachetnych.

Można zatem przyjąć jako rzecz pewną, że niebyły one obnarzone z kory.

Dlaczego?

Ato dlatego, że samo odmłodzanie lasu odbywało się inaczej, aniżeli się to dzieje. W dzisiejszem gospodarstwie leśnem młodziaki i kultury ściśnięte są na pewnych niezbyt wielkich przestrzeniach, do których przylegają, najczęściej od strony wschodniej, zwarte drzewostany. Na porębach zwierzyna znajduje pokarm, zimą zaś chętnie przebywa w zagajnikach, gdzie prześwieca słońce; w zwartych zaś, stojących obok drzewostanach używa wypoczynku i czuje się bezpieczną. Ponieważ w czystych drzewostanach, jakie dawniej tworzyły ideał gospodarstwa leśnego, najczęściej niema podszycia, nie może więc w nich być dostatecznej osłony dla zwierzyny. Tym sposobem musi się ona chronić w najbliższej okolicy poręb i w takich warunkach nie można się wcale dziwić, że zwierzyna gromadzi się w tych miejscowościach nielicznych, gdzie znajdzie jakie takie pożywienie, a gromadząc się w większej liczbie, musi wyrządzać szkody. Powiększa jeszcze rozmiar tych szkód ta okoliczność, że kultury na porębach pochodzą z sadzenia.

Duża poręba pociąga za sobą z natury rzeczy rezultat, że młode drzewka, nawet w naturalny sposób powstałe, przeważnie składają się z jednego gatunku. Wprowadzenie tutaj różnych gatunków drzew może się dokonywać tylko wyjątkowo. Dlatego też wyławia zwierzyna te rośliny, jak kluseczki z zupy, zwłaszcza, że one są smaczniejsze, albo nadają się lepiej do tarcia.

Zagranicą rozpoczęło się energiczne zrywanie z tego rodzaju metodą gospodarczą, a tym sposobem otwiera się droga, na której złączyć się mogą wymagania leśnika z wymaganiami myśliwego. Jeżeli poręby rozrzucimy po całej przestrzeni leśnej rozdzielimy tem po różnych miejscach zwierzynę, która dziś skazana jest na gromadzenie się w nielicznych miejscach. Wówczas szkody muszą się znacznie redukować.

O ile ilość zwierzyny jest proporcjonalna do wielkości lasu (tutaj już muszą zrobić ustępstwo najzapaleńsi nawet myśliwi) o tyle szkody wyrządzane nie będą przedstawiały zbyt wielkiego znaczenia dla gospodarstwa leśnego. Trzeba jednak zwrócić uwagę na następujące jeszcze warunki:

Małe zagajniki trzeba tak zakładać, ażeby się, o ile możności, same zasiewały, a już w każdym razie regułą stać się powinien siew przy tworzeniu odmłodzeń. Naturalne odmłodzenie zapomocą siewu wytwarza jednak tak wielką ilość roślin, że zwierzostan, mimo najlepszych chęci, nie może sobie z niemi poradzić. Wobec obfitości pozostanie zawsze część roślin nieobgryzionych; wybujają one w górę i unikną łakomstwa zwierzyny. Już samo baczne obserwowanie natury wskazuje, że tworzenie drzewostanu małą ilością roślin nie jest wcale rzeczą dobrą. Sama natura uważa iż nasieniu i młodym roślinkom zagrażają wielkie niebezpieczeństwa i dlatego wytwarza ogromne ich ilości. Gdybyśmy nawet nasienie i młode rośliny umieścili w lepszych warunkach kiełkowania i rozwoju, niż to uczynić może sama natura, jeszcze nie będziemy mogli usunąć wszystkich niekorzystnych wpływów; tylko wtedy, gdybyśmy taką moc posiadali, dałoby się usprawiedliwić użycie małej ilości roślin w kulturach. Dawniej las odmładzał się w sposób naturalny, a w najlepszym razie przeprowadzano siewy i sadzenia w wielkich rozmiarach niepraktykowano wcale. Ztąd zapewne pochodzi, że starzy leśnicy nieznali wcale szkód w rozmiarach, jakie teraz w lasach wyrządza zwierzyna,

Z sadzeniem połączony jest zawsze w mniejszym lub większym stopniu chorobliwy stan roslin, co naturalnie pomnażać jeszcze musi znacznie rozmiary szkód wyrządzanych przez zwierzynę. Ten stan chorobliwy odpada zupełnie przy nalaciałych, albo też zasianych roślinach, łatwiej też można wyleczyć rany, zadane przez zwierzynę. Zastanawiać musi fakt, że dwuletnie rośliny świerków bardzo łatwo przychodzą do siebie po ogryzieniu przez zwierzynę.

Przy odmłodzeniach na małej przestrzeni same z siebie ukażą się tutaj te gatunki drzew, na których hodowcom zwierzyny tak bardzo zależy, jak np. osika, wierzba, jesion, brzoza, grusza polna i t. p. Te drzewa powstrzymają zwierzynę od uszkodzenia leśnych roślin kulturalnych. Niektóre z tych gatunków drzew np. osika i brzoza, coraz więcej są w niektórych okolicach w celach przemysłowych poszukiwane i tym sposobem stają się coraz droższe. Nie będzie to zatem żadną ofiarą, gdy one się w małym za-

kresie utrzymają w gospodarstwie leśnem, wyklinanie bowiem tych miękkich drzew w dzisiejszych czasach jest już nie na miejscu i traci przestarzałym szablonem.

Wobec powyższych uwag, dochodzimy do wniosku, że w lesie, w którym pomieszane są młodziaki, starsze drzewka i drzewa rębne, i w którym odmładzanie odbywa się w sposób naturalny, mniej dają się odczuwać szkody wyrządzane przez zwierzynę. Z drugiej znów strony sama zwierzyna czuje się tutaj daleko lepiej po części dlatego, że w gąszczach jest bezpieczniejsza i może oddawać się wypoczynkowi, a po części dlatego, że rozrzucony po całym rewirze pokarm uprzyjemnia jej pobyt. Słońce przygrzewa mile, a tego ciepła nie mąci ostry wiatr, który przeciąga bardzo silnie w wielkich gospodarstwach leśnych, w których poręby przeprowadzane są na wielką skalę.

Nie należy zapominać, że wszyscy nasi mieszkańcy leśni, a szczególniej ptaki, wielką przywiązują wagę do ciepła i nienawidzą zwłaszcza silniejszych przeciągów. Faktem jest dowiedzionym, że zwierzostan saren bezporównania jest lepszy w lasach pod względem wieku niejednolitych, aniżeli tam, gdzie drzewa przedstawiają się równomiernie. W Niemczech stwierdzono, że sarny najwięcej przebywają w lasach chłopskich, pomimo, iż tam poluje się ciągle, a w dodatku w sposób bardzo nieprawidłowy. Wytłomaczyć to można tylko tem, że sarny lubią lasy niejednolite, wolą też tam przebywać, aniżeli na wielkich przestrzeniach lasów równomiernych. Że polowanie w takich warunkach jest również ułatwione, nie potrzeba chyba tego dowodzić,

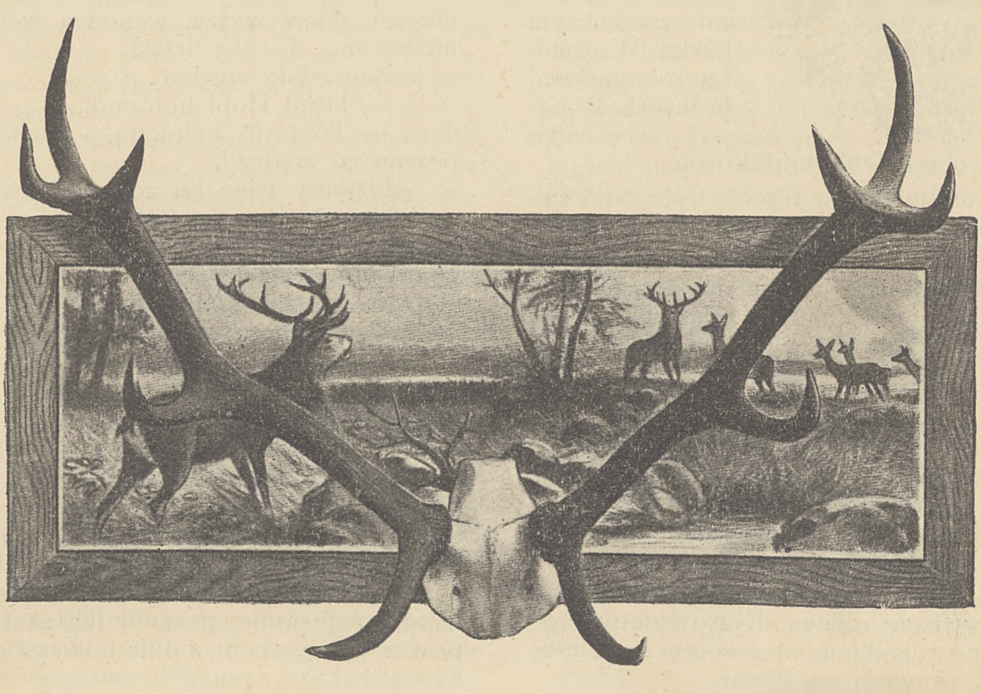
W celu rozwoju zwierzostanu i w celu uchronienia lasów od szkód nadmiernych, które ta zwierzyna wyrządza, należy zerwać z podziałem rewirów na klasy co do wieku.

Następnie należy dbać o gęste, zwarte zagajniki, a wreszcie trzeba się starać o drzewostany mieszane z dobrem podszyciem.

Takie żądania stawia dzisiaj nauka łowiectwa, a jest to tem ciekawsze, że te żądania schodzą się zupełnie z najnowszemi teorjami gospodarstwa leśnego. Temi samemi środkami staramy się dzisiaj wykorzystać siły natury w celu wyprodukowania najlepszych drzew i osiągnięcia tym sposobem największych dochodów z lasu. Utrzymujemy stanowczo, że hodowla zwierzyny w pewnych, rozumnych granicach da się zupełnie dobrze pogodzić z celami, jakie sobie stawiać powinien dobry gospodarz leśny.

Na zakończenie pragnę jeszcze zwrócić uwagę na to, ze nie miałem zamiaru stawiać suche formułki teoretyczne. Przeciwnie, rzeczy przedstawiłem tak, jak mi nakazuje własne doświadczenie, i jak dzieje się w rzeczywistości. Znam wielki zarząd leśny, który postępuje wedle tych zasad i osiąga doskonałe rezultaty. Pomimo, że zwierzostan saren jest nawet bardzo poważny, pomimo, że jelenie nie należą wcale do przelotnych gości, pomimo, że wielką wagę przywiązuje się do hodowania drzew, najbardziej narażonych na ogryzanie (jesion, świerk, dąb i klon), nie ma tam żadnych płotów i odgrodzeń, a nawet garnek ze smołą jest znienawidzony. Zagajniki trzymają się tutaj stanowczo lepiej i szybciej wyrastają w górę, aniżeli wielkie i małe czyste zręby u sąsiadów, którzy nietylko posiadają płoty, ogrodzenia i używają smoły, ale również wszelkie inne stosują środki w celu odstraszenia szkodników.

H-s., Nadleśny z W. Ks. Poznańskiego.





LISY.

W sezonie bieżącym miałem dwa zdarzenia z lisami, conajmniej niepowszednie.

Robotnik wracał od karczunku ku domowi. W dużym lesie ze starego, wypróchniałego jesionu wyskoczyla liszka. W otworze zobaczył małe lisięta. Wstąpił więc do mnie, by mi o tem zakomunikować.

— Bójcie się Boga, trzeba było liski zabić, albo żywe mi odnieść, to mielibyście zwykłą nagrodę—zainterpelowałem.

— Et, wielmożny panie, bo ja glupi — odrzekł, naturalnie drapiąc się w głowę i przestępując z nogi na nogę.

— Jakże to? nagrodnych hroszy nie chcecie?

— Nie, jeno jakeśmy we czterech parę lat temu w tamtem miejscu właśnie małą sarenkę wzięli, to sąd przysądził z każdego z nas pięć rubli kary. Czy ja wiem? może i za lisy bym też po pięć rubli zapłacil?

Była to albo bardzo subtelna ironia, albo też rzeczywiście obawa. Kłusownictwo bowiem tępimy wszelkiemi dozwolonemi i niedozwolonemi prawem środkami.

Poleciłem więc, by nazajutrz rano się stawił w pobliżu.

Zabrawszy jamniki, *Maja* i *Owę*, ze słynnej psiarni Caesara i Minki, zajeżdżam na umówione miejsce. Mojego robotnika niema. Jest tylko syn.

— Tata poszli w las, a mnie kazali czekać na gościńcu. Do jesiona doprowadzę wielmożnego pana.

Rewir błotnisty, więc wybierać drogę trzeba, wobec dziewięciomiesięcznych prawie deszczów.

Dochodzimy do starego jesiona. Nie ma nikogo; taksy węszą, wchodzą w otwór—lecz niema nic. Co do licha?!

Ale zdala słychać:

— Hop! Hop! holoooo!...

— To tatuś holokają — powiada malec— pewno co znaleźli.

Idziemy więc ku zdala odzywającemu się „holokaniu“. Bagno coraz trudniejsze do przebycia, w końcu serjo kęp tylko szukać trzeba. Uczuwam głęboką wdzięczność dla p. Rokickiego za długie sznurowane buty, które istotnie wilgoci nie przepuszczają.

Dochodzimy do jeziorka. Po środku sterczy parę wysepek, a na jednej z nich stoi mój chłop-robotnik i podnosi coś w górę.

— Psia mać, tu przeniosła!--krzyczy.

Jest lisiąt ośmioro. W chwil parę *Owa* je dusi. *Maj* okazuje o wiele więcej szlachetności, gdyż widząc małe bezbronne stworzenia, zaczyna je lizać. Dusić nie chciał.

Okazuje się, że karpiarz, nie znalazłszy lisków w jesionie, poszedł ich szukać. I znów powtarza się scena z dnia powszedniego. Liszka wyskakuje z pnia, wygnitego wewnątrz, po-

łożonego prawie w środku jeziorka, przepływa do brzegu — i ucieka. Gdyby spokojnie pozostała w miejscu, niktby nie mógł przypuścić, że dzieci tam ukryła, spostrzegłszy bytność ludzi koło wygnitego jesiona.

Biedna liszka! zastała wszystkie jamy w rewirze zalane wodą lub zbytnio wilgotne, i nie miała gdzie potomstwa złożyć! Widać był to pomiot pierwszy, była młoda i sąsiednich suchych rewirów nie znała.

Rozstawiłem dwóch gajowych, by czekali przyjścia matki. Pomimo wszelkich ostrożności — nadeszła pod wiatr, domyśliła się widać o co chodzi—i na strzał się nie zbliżyła.

A teraz drugi wypadek—mniej charakterystyczny,

O sto pięćdziesiąt kroków od gajówki, w jednym z rewirów, mam prastare jamy lisie i borsucze. Są to jamy trzypiętrowę — więc trudne. Kilka dni temu zajechałem w tamte strony. *Maj* wszedł pierwszy, do innego otworu weszła *Owa*. Niezwłocznie ozwała się podziemna muzyka, a w pięć minut po tem słyszę krzyk stangreta:

— Wielmożny panie! olaboga, toć wyleciała!!!...

Co do licha? Rzeczywiście z otworu, położonego o jakie pięćdziesiąt kroków, wybiekła wygryziona liszka. Naturalnie dwa strzały; po drugim liszka przysiada, lecz idzie dalej, do zagajników. Przepadła!

Tymczasem pod ziemią hałas się nie zmniejsza. Posyłam stangreta po robotników, by zacząć kopanie. Po kilku chwilach słychać w kanale, przez który wszedł *Maj*, szamotanie i łoskot. Wypełza tyłem, trzymając w pysku liska sześciotygodniowego, zupełnie żywego i zdrowego. Złożywszy go kolo mnie, natychmiast ucieka powtórnie i po kilku chwilach ukazuje się z drugim.

Po odkopaniu znaleźliśmy jeszcze trzy sztuki, zaszyte w ślepym ganku.

Wydobyliśmy: szczątki 4 zajęcy, 6 bażantów, wiewiórki, wrony, a nawet bocian dopełniał kolekcji resztek spiżarni.

Pomimo dwudniowego zasiadania, liszka nie powróciła, i liski bez pogrzebu leżały dni kilka. Widać matka dostała postrzał poważny, a może i śmiertelny. *M. Godlewski.*

Polowanie z łasicami na króliki.

Żadna zapewne leśna zwierzyna nie jest tak z jednakową wytrwałością prześladowana i tępiona, jak króliki. Małe te podziemne gryzonie, przyczyniają rolnikowi i leśnikowi ogromne szkody; myśliwemu natomiast dostarczają w okolicach niezbyt obfitujących w zwierzynę— możność polowania.

W ciągu lat wielu oddawaliśmy się namiętnie z bratem polowaniu na króliki; pragnę więc podzielić się z czytelnikami nabytem doświadczeniem.

W posiadłości mojego ojca zagnieździły się króliki, czyniąc tak znaczne szkody, że ani jako rolnik, ani jako leśnik znieść już tego dłużej nie mogłem. Z jednej bowiem strony zasiewy na brzegach lasów cierpiały ze strony królików, zamieszkałych w krzakach tarniny i na polnych miedzach, z drugiej zaś strony ich bracia leśni dopomagali skwapliwie, nie dopuszczając prawidłowego rozwoju zasiewanych roślin.

Pragnąc raz już położyć koniec tej rabunkowej gospodarce, postanowiliśmy przedsięwziąć stanowcze środki. W tym celu postarałem się o dwie łasice (fretki), bowiem broni palnej ojciec nam jeszcze nie powierzał. Oprócz tych fretek nabyłem jeszcze dwie łasice tchórzowate, w starej, renomowanej firmie, które miały być ułożone do pomienionego polowania; okazało się jednak, że nie miały o niem pojęcia. Niezrażony niepowodzeniem spróbowałem odpowiednio wyćwiczyć łasice. Pierwsze podjęte próby nie dały dodatniego rezultatu. W początku bowiem z wielką niechęcią zapuszczały się do nor króliczych i siedziały w nich dosyć długo, a gdy się zjawiły na powierzchni, to bez jakichkolwiekbądź śladów podziemnej działalności.

Zwątpiłem już prawie w powodzenie naszego przedsięwzięcia i chciałem zaniechać dalszych prób, gdy pewnego dnia udało się jednej łasicy wypędzić z nory królika do zastawionej przed jamą sieci. Ten fakt dodał mi bodźca. Zniechęcenie odrazu znikło. Z większą jeszcze energią i cierpliwością podjąłem dalszą tresurę. Odtąd postępy w zmyślności moich uczenic były widoczne i wkrótce byłem z nich zupełnie zadowolony, pomimo, że jeszcze nieraz, po długiem oczekiwaniu, ukazywała się fretka z sierścią królika i zafarbowana jego juchą, lecz bez ofiary. W podobnych wypadkach cała nasza satysfakcja ograniczała się na tem, że ze skupioną uwagą, wnioskując z przytłumionego hałasu, mogliśmy mieć mniej więcej wyobrażenie o odbywającym się podziemnym dramacie. Prawidłowy jednak przebieg polowania odbywał się w ten sposób, że łasica, ujrzawszy norę, wsuwała się zwinnie do niej; po krótkiej chwili oczekiwania dawał się słyszeć w głębi gwałtowny hałas, co było dowodem, że kryjówka królika została wyśledzona i on w ucieczce szuka ratunku.

Uwaga nasza wtedy się podwaja. Jeżeli prześladowczyni złapie swego przeciwnika, hałas umiejscawia się, jeżeli zaś królikowi uda się umknąć — słychać kilka krótkich, przytłumionych prześlizgnień i w mgnieniu oka ukazuje się na powierzchni królik, który albo zaplątuje się w zastawioną sieć, albo też zostaje wystrzałem zabity. W obu jednak wypadkach trzeba szybko i z przytomnością umysłu działać, ażeby nie pozwolić królikowi ujść, gdyż szamocząc się swym małym, lecz silnym i elastycznym korpusem łatwo może się z sieci wyswobodzić. Trzeba go ująć za krzyż, ostrożnie z sieci wydostać, schwycić silnie za tylne nogi i płaskiem uderzeniem ręki w kark pozbawić życia.

Często jednak powyższa manipulacja przybiera inny obrót: niejeden królik z rąk umknąć zdoła. Proszę sobie wyobrazić minę nemroda, który tryumfująco trzyma królika za tylne nogi, i podniósł w górę drugą rękę dla zadania śmiertelnego ciosu, gdy niespodziewane szarpnięcie wyswabadza go z niewoli, a myśliwy, z jedną ręką wzniesioną do razu, a z drugą jakby do przywitania wyciągniętą, pozostaje skonfudowany na placu boju.

Lecz baczność.

Kiedy zajęci byliśmy rozplątywaniem sieci królika wypędzonego przez pierwszą łasicę — usłyszeliśmy nowy hałas. Pośpieszyłem więc, aby przed wolnym otworem nową siatkę założyć. Po chwili spotkał podobny los i drugą ofiarę, a za nim ukazała się fretka, z wiszącą pomiędzy pazurami sierścią królika; widocznie siedziała na karku przeciwnika.

Mimo zachęcań, pomocnice nasze nie okazywały najmniejszej chęci do powtórzenia rewizji jamy, co dowodziło, że jest opróżniona. W rzadkich tylko wypadkach łaski mogą się mylić, minąwszy ukrytego królika; to może jednak zdarzyć się wyłącznie w wielkich schroniskach.

Dla zawołanych myśliwych interesujące jest polowanie bez sieci, w miejscach, gdzie norę okrywają dobre zasłony. Mojem zdaniem, dla myśliwego polowanie na króliki należy do przyjemniejszych ze względu na wrażenia; przy kilku otworach nie można być pewnym, z którego wybiegnie zwierzyna; może naraz i z kilku; naprężenie nerwów z każdą chwilą wzrasta i powstaje niepokój o skutek strzałów. Oprócz tego niejednokrotnie możemy mieć i inne niespodzianki.

Pewnego razu wpuściłem fretkę do olbrzymiej kryjówki o 20 czy 25-u otworach. Po chwili oczekiwania usłyszałem w głębi hałas, połączony z panicznym krzykiem. W tej samej chwili ukazała się na powierzchni fretka, a tuż za nią wybiegł silny tchórz i nim zdążyłem wystrzelić, skrył się z błyskawiczną szybkością w przyległym otworze. Fretkę zaś znalazłem o jakie sto metrów od kryjówki, przyczajoną ze strachu pod krzakiem. Pomimo zachęcania więcej do jamy powrócić nie chciała. Tego samego wieczoru zastawiłem żelaza przed dwoma głównemi wejściami, w które złapał się tchórz samiec, a następnego dnia była również w mojem posiadaniu i jego towarzyszka.

Innym znów razem brat mój przy pomocy łasicy zastrzelił zdziczałego kota, który miał siedlisko również w króliczej jamie; wiadomo bowiem, że zdziczałe koty prawie zawsze wiodą żywot w norach i rzadko je w dzień opuszczają. Postrzelone nawet, wracają z wielką sprawnością z powrotem do swych kryjówek. Można je łapać tylko przypadkowo wieczorem w tego rodzaju miejscach. Pewnego dnia, mając przy sobie tylko 9 m. m. flobert, zapuściłem się w młody sosnowy zagajnik, gdzie wiedziałem, że znajdę króliki; wypłoszone z kryjówek, przemykały po za promieniem strzału; zniechęcony daremną stratą ładunków, miałem już zawrócić ku domowi, gdy nagle zwrócił moją uwagę szelest i w odległości kilku kroków ujrzałem część korpusu, przykrytego sosnowemi gałęziami silnego kota; skutkiem wzruszenia, jakiego doznałem, posłana kulka chybiła celu i trafiła w stojący opodal pień sosnowy, wystraszony zaś kot ukrył się w poblizkim rowie.

Przeszukałem skrupulatnie pokrycie i znalazłem w niem świeżo zaduszoną bażantkę, której osierdzie było napoczęte. Założyłem żelaza, pokrywając je resztką osierdzia, pozostałe zaś części ulokowałem pomiędzy dwoma innemi żelazami. Skutek był pewny. Następnego poranku znalazłem kota w żelazach. Zastawiłem je powtórnie i w ciągu tygodnia, szczęśliwym trafem złapał się jeszcze jeden jego towarzysz. Zawdzięczając trafowi pozbyłem się rabusiów; od tego czasu w tym rewirze dzikich kotów nie zauważyłem.

Wracam jednak do przerwanego opowiadania.

Polując z łasicami na króliki, miałem rezultaty o wiele lepsze, jeśli im zakładałem kagańce, obrączki, lub coś w tym rodzaju; twierdzenie, że w ten sposób osłabiamy w nich tak zwaną „pasję do polowania“ jest błędne; trzeba umieć tylko odpowiednio obchodzić się z niemi. Wiemy dobrze, że fretki duszą zwykle w norze króliki, co redukuje wrażenia myśliwskie prawie do zera; chcąc więc temu zapobiedz, nakładamy naszym pomocnicom kagańce. Niechęci do polowania łasice nie znają i w razie chwilowego zniechęcenia, dobrze jest pozwolić im nasycić się krwią zaduszonej bez kagańca ofiary. Wraca im wtedy cała werwa i zamiłowanie w podwójnym stopniu. Zdarza się czasem, że fretka zapędzi królika do nory bez wyjścia; założony kaganiec uniemożliwia zagryzienie; drapiąc i atakując bezustannie, zapobiega jego wymknięciu do otworu; wtedy słyszymy, że hałas dobywa się z jednego miejsca i musimy uciec się do łopaty, by miejsce walki na światło dzienne wydostać.

Zdarzyło się nam pewnego razu, że po kilku wyrzuconych sztychach, ujrzeliśmy dwa zdrowe króliki, które jeden nad drugim silnie były ściśnięte w jamie.

Gdy króliki, nie mając innego wyjścia, usuwają się przed napastującą je fretką, wyczuć można zupełnie wyraźnie nogami miejsce, w którem się znajdują i omyłka jest wyłączona. Dość bowiem zrobić kilka sztychów szpadelkiem, by zdobycz była w naszem ręku.

Drugą ważną rzeczą jest nie wyszukiwać zbyt wielkich kryjówek. Przedewszystkiem dlatego, że króliki z łatwością przed fretką w różne kryjówki schować się mogą, powtóre dlatego, że łasica traci bardzo wiele czasu, nie ukazując się na powierzchni, co nas niecierpliwi. Nakoniec w tego rodzaju norach, a szczególniej w starych lisich i borsuczych schroniskach mamy do czynienia z tak głębokiemi jamami, że fretka naraża się na niebezpieczeństwo spotkania jakiego drapieżnika, w którego szponach zginąć może. Nie radzę również polegać na samych tylko śladach, jakie prowadzą do nory, gdyż często mylą się i bywają tylko chwilowemi, czyli rezerwowemi schroniskami. Zdaniem mojem, najpewniejsze nory królicze są te, które mają od trzech do dziesięciu otworów naokoło drzewa. Najchętniej obierają sobie jako siedlisko dęby, buki lub sosny, pod korzeniami których urządzają kryjówki, co odpowiada wymaganiom ich natury. Niezależnie od tego rodzaju kryjówek urządzają sobie króliki mieszkania pod kupami chrustu, lub pod krzakami tarniny, w których również chętnie się gnieżdżą. Nory zaś z jednym, dwoma lub trzema otworami, są to, jak wyżej wspomniałem, gniazda t. z. przejściowe, lub zapasowe.



Co zaś się tyczy kwestji, w jakiej porze dnia i roku najlepiej na nie polować, to z doświadczenia poradzić mogę czas od października do połowy kwietnia; w tych miesiącach prawie, że tylko dojrzałe okazy napotkać można, co łasicy utrudnia sposobność, jak to bywa latem, do nasycenia się krwią młodych.

Najkorzystniejszą porą dnia są godziny pomiędzy 9 rano a 5 po południu, gdyż przed i po tym czasie króliki żerują po polach i zwykle w gniazdach są niespokojne.

Na powodzenie polowania ogromny wpływ ma stan aury. Króliki przy pięknej, ciepłej pogodzie w lecie, a w zimie przy jasnym mroźnym dniu, daleko więcej są ruchliwe i o wiele częściej opuszczają kryjówkę, aniżeli przy pochmurnej, wilgotnej, lub też dżdżystej pogodzie.

Przy pomocy więc łasic w ciągu 1½ roku pozbyliśmy się prawie zupełnie plagi króliczej, która nam tak olbrzymie szkody wyrządzała i do obecnej pory te gryzonie nie dają się nam we znaki.

Nakoniec zauważę, że nigdy nie stosowałem i stanowczo potępiam nieludzki sposób pozbywania się królików przy pomocy podkładania trutek.

Kto chce zatem usunąć szkodniki, może spróbować środka, jaki z doświadczenia własnego, uznawszy go za najlepszy, w niniejszym artykule podaję.



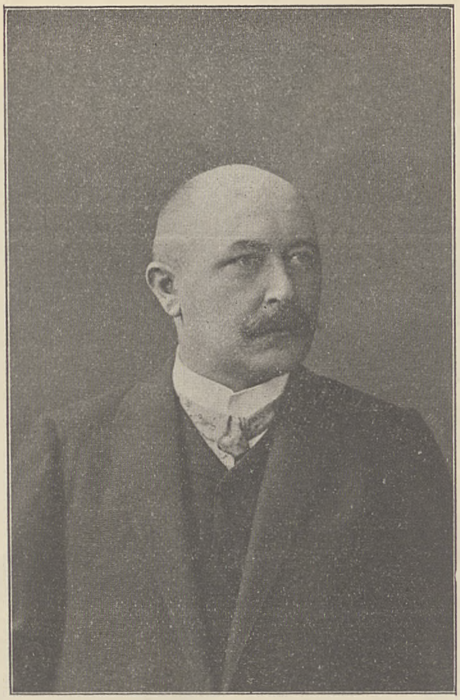
Z KRONIKI ŻAŁOBNEJ.

W poprzednim numerze naszej „Gazety" zdążyliśmy zaledwie tylko pobieżnie wspomnieć o prawie jednoczesnym zgonie dwóch zasłużonych na polu leśnictwa i myśliwstwa pracowników: ś. p. Piotra Piątkowskiego i ś. p. Wacława Ziski. Obecnie czujemy się w obowiązku uzupełnić tę wiadomość bliższemi szczegółami z życia tych zgasłych przedwcześnie kolegów.

Ś. p. Piotr Piątkowski, nadleśniczy dóbr Trzebień i Magnuszew, w gub. Radomskiej, własności Jana hr. Zamoyskiego, zmarł w d. 9-ym maja r. b. w Poznaniu, dokąd wyjechał na kurację.

Ś. p. Piotr Piątkowski urodził się w r. 1861 w Księztwie Poznańskiem, gdzie też uczęszczał do gimnazjum i kształcił się fachowo—a następnie odbył i służbę wojskową.

Praktykę leśną odbył w lasach Miłosławskich i Czerniejewskich, pod kierunkiem nadleśniczych Skóraczewskiego i Haydesa.



Ś. p. Piotr Piątkowski.

W roku 1886 zaangażowany został do połączonych dóbr Maciejowice i Magnuszew, własn. hr. Zamoyskich, gdzie początkowo przez lat 9 w charakterze leśniczego, a następnie przez lat 18 jako nadleśniczy—ogółem przez 27 lat, bez przerwy w majątkach tych pracował.

Był to leśnik i myśliwy zamiłowany, pracowity i systematyczny, u którego też we wszystkich podległych mu działach panował zawsze wzorowy ład i porządek.

Był to typ prawdziwie zamiłowanego leśnika, którego poza sprawami leśnemi nic więcej nie zajmowało i nie interesowało.

Przed dwoma laty zapadł na chorobę sercową, która od tego czasu bez przerwy męczyła jego organizm—aż wreszcie po ciężkich cierpieniach zgasł przedwcześnie, bo zaledwie w 52 roku życia, pozostawiając po sobie szczery i serdeczny żal wszystkich, którzy go bliżej znali.

Cześć jego zacnemu charakterowi i jego wytrwałej pracy w umiłowanych przez siebie lasach, którym całe swe życie poświęcił!

F. Rożyński.

Znacznie młodszym był drugi zmarły:

Ś. p. Wacław Ziska, którego zgon nastąpił w d. 10 maja r. b. Było to również leśnik zamiłowany w swoim zawodzie, gruntowne zaś wykształcenie podstawowe, teoretyczne, jak i praktyczne, rokowało mu piękne nadzieje na przyszłość. Czech rodem, urodzony w Białej Trzemeśni w dniu 28-ym września 1879 roku, wcześnie ukończył szkoły średnie, poczem udał się do akademi, ktorą chlubnie ukończył. Odbywszy praktykę, przeniósł się do Królestwa Polskiego i tu objął posadę nadleśnego w dobrach ś. p. Jerzego von Narbuta w gub. Płockiej, a na tem stanowisku przebył cztery i pół roku.

W ciągu tego czasu zżył się ze społeczeństwem naszem, tu też utworzył sobie drugą, przybraną ojczyznę, wszedłszy przez związek małżeński w bliższą łączność z krajem.

Z gub. Płockiej przeniósł się do Łomżyńskiej, gdzie znów z wytężeniem był czynny jako nadleśny, aż wreszcie powołany został na posadę łowczego w Warszawskim Oddziale Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myśliwstwa. Na tem stanowisku rozwinął ś. p, Wacław Ziska nader owocną działalność, jako gruntowny też znawca spraw łowiectwa ujął w karby całe gospodarstwo wewnętrzne i znakomicie podniósl zwierzostan, skarbiąc sobie wdzięczność i uznanie ze strony Zarządu Towarzystwa.

Obowiązki zawodu nie przeszkadzały zmarłemu brać również żywy udział w pracy społecznej. Jego też staraniem powstało głównie w Osiecku Towarzystwo Spożywcze, którego był prezesem honorowym. Prawy i uczynny cieszył się ś. p. Wacław Ziska ogólną sympatją i zaufaniem.

Do tych dwóch zgonów przybył jeszcze trzeci, a mianowicie na Wolyniu zmarł:

Ś. p. Wiktor Szostak, administrator i zarządzający lasami dóbr ks. Huberta Lubomirskiego.

W zmarłym traci stan leśny jednego z wybitnych swoich członków, a pismo nasze życzliwego zwolennika. Ś. p. Wiktor Szostak nietylko jako leśnik o wyższem, akademickiem wykształceniu, zaczerpniętem zagranicą ale również jako myśliwy cieszył się szerokiem uznaniem, z szczególniejszem zaś zamiłowaniem oddawał się kinologii i jego hodowla psów, zwłaszcza wyżłów, znana była i ceniona ogólnie.

Na świeże mogiły trzech zacnych kolegów rzucamy ze szczerem współczuciem dla pozostałych Rodzin, garść ziemi z życzeniem, ażeby im ona była lekką! *Redakcja.*

LUŹNE UWAGI.

Z powodu artykułu p. M. Godlewskiego „Pzypomnień parę o szkółkach leśnych“, umieszczonego w Nr. 8 Gazety Leśnej i Myśliwskiej, pozwolę sobie zrobić kilka spostrzeżeń, które mam nadzieję, nie dotkną p. Godlewskiego, gdyż wyraźnie zastrzegam się, że kilka słów tych piszę nie w celu skrytykowania p. G. lecz w celu wyrażenia moich osobistych poglądów na kilka kwestji poruszonych przez p. G. Zresztą uważam, że ścieranie się zdań na łamach w tym celu stworzonego organu, może nam tylko przynieść korzyść.

Iluż to bowiem sz. kolegow, przeczytawszy artykul, i znalazłszy w nim coś nie zgadzającego się z jego poglądami, skrytykuje go „w głębi duszy“ i na tem poprzestanie! A ile to mamy takich kolegów, którzy nie jednej cennej wskazówki udzielić by nam mogli, mając za sobą ogromną wiedzę, popartą wieloletnią wszechstronną praktyką? Ci jednak najczęściej, bądź z „braku czasu“ bądź, co się częściej zdarza, z obojętności nie chcąc swych cennych wiadomości rozpowszechniać, milczą.

Regulówkę głębszą, niż na jeden sztych szpadla, uważam za szkodliwą, a to z tego względu, że przy głębokiej rogulówce roślina wytwarza za długi korzeń, który zbyt utrudnia sadzenie, a nawet często staje się przyczyną nieudania się upraw.

Szpadel ma długości około 8 cali angielskich. O ile więc roślina wytworzy korzeń długości od 6—8 cali uważam to za zupełnie wystarczające. Ważną kwestją przy sadzeniu jest, by korzeń ułożyć w szparze pionowo i by on nie był od dołu zagięty. A czyż przy zbyt długiem ukorzenieniu jesteśmy wstanie uniknąć takiego zagięcia, mając przy robocie kilkudziesięciu, a nawet często kilkuset robotników? A jak ważną kwestją jest prawidlowe ułożenie korzenia, miałem sposobność przekonania się teraz: Cztero do 5-ciu letni zagajnik sosnowy miał bardzo słaby przyrost i chorobliwy wygląd. Żadnych śladow choroby nie było widać. Kiedy wyrwałem kilkadziesiąt sztuk, przekonalem się, że każda miała korzeń pokręcony i powyginany.

Sądzę, że 8-miocalowy korzeń u sosny, przeznaczonej na jałowe piaski, nawet przy dłużej trwającej suszy, zapewni roślinie (sosnie) dostateczną ilość wilgoci Ponieważ uważam układ korzenia przy sadzeniu za jednę z kwestji pierwszorzędnej wagi, sam pozwolę sobie na tem miejscu opisać, jak przed rozpoczęciem upraw postępuję.

Przed zadołowaniem sadzonek, podczas wyjmowania ze szkółki, maczam je w papce glinianej, (glina rozrobiona z wodą do tej gęstości, by była płynna, lecz by osiadała na korzeniach) i dopiero dołuję. Tak zadołowane sadzonki oblepią się doskonale ziemią i później przy sadzeniu mam do dyspozycji nie goły korzeń, który łatwo się zagnie przy opuszczaniu w szparę, lecz korzeń oblepiony ziemią, który własnym ciężarem ułoży się pionowo w szparze.

Nie mogę zgodzić się z p. G. aby wogóle dobrze było używać w szkółkach leśnych nawozów naturalnych w rodzaju obornika lub nawozu końskiego. W szkółkach leśnych według mnie niewolno nam zbytnio sztucznie pędzić roślinek, gdyż tak wyhodowane, prawda, będą bujne, lecz wskutek szybkiego, bujnego i długo trwałego wzrostu, nie będą w stanie zdrewnieć o tyle, aby później, po wysadzeniu na wycięciskach mróz nie poczynił znacznych szkód, a co zatem idzie strat. Ztąd, według mego zdania, pochodzą tak często powtarzające się w ostatnich czasach osutki mrozowe i wymarzania całych przestrzeni.

Skłonniejszy byłbym przypuszczać, że zastosowanie nawozów potasowych, przyspieszających drewnienie roślinek, mogloby wpłynąć dodatnio na odporność roślin przeciwko wpływem atmosferycznym.

Używanie nawozów naturalnych w szkółkach leśnych sprowadzić może wprost klęskę pędrakową, wiemy bowiem jak chrabąszcza nęci zapach nawozu i jak chętnie składa w te miejsca jajka.

Co do przykrycia zasiewów liśćmi, to skłonny jestem twierdzić, że takie przykrycie liśćmi więcej szkody, niż pożytku przynieść może. Kiedy bowiem nasiona zaczną kiełkować i wschodzić, liście musimy usunąć. Proszę sobie wyobrazić, ile to roślinek uszkodzonych zostanie przez zerwanie łusek nasiennych, i jaka to zmudna praca.

Prawda, że takie przykrycie liściem znacznie zredukuje wzrost chwastów, lecz wziąwszy pod uwagę koszt zdjęcia liści i wartość zniszczonych roślinek, napewno opłaci się szkółkę opleć.

Praktyczniejszem przykryciem będą gałęzie świerkowe i jodłowe, a nawet sosnowe. Przykrycie takie chroni doskonale nasiona przed ptactwem, przed wypłukaniem przez gwałtowne deszcze, chroni od wysychania ziemi, a zdjęcie takiego przykrycia, przy rozpoczęciu wschodów, nie przedstawia najmniejszej trudności i może być uskutecznione latwo i szybko przez miejscowego gajowego.

Przy zdejmowaniu gałązek bardzo mały procent roślinek uszkodzonych być może, a to z tego powodu, że gałązka tak szczelnie nie przylega do ziemi i nie potrzebujemy gałązek tych zgarniać ręką, co czynić jesteśmy zmuszeni przy zdejmowaniu liści.

Bardzo byłbym rad, gdyby Sz. autor chciał obszerniej poruszyć tak ważną kwestję, jak walkę z pędrakiem, mając, jak widać z kilku wzmianek w tymże artykule, po temu pewne doświadczenie. Jest to sprawa tak paląca i

ważna, że nie godzi się ukrywać w korcu swoich doświadczeń i sposstrzeżeń.

„Krogulec.“

Nietylko nie biorę za złe Sz. koledze poczynionych uwag, lecz przeciwnie, chodzi mi o to, byśmy wszyscy, wypowiadali swe zapatrywania co do poruszanych w „Gazecie“ kwestji, a tem przyczyniali się do rozwoju i popularyzacji wiedzy leśnej. Każda uwaga, czyniona na podstawie danych teoretycznych lub doświadczeń osobistych, jest wielce korzystna dla rozwoju naszej wiedzy rodzinnej.

Sz. kolega *Krogulec*, którego osobiście bardzo cenię, ze względu na kilka bardzo ładnych kultur sosnowych, które obserwuję, twierdzi, że przy obsadzaniu np. lotnych piasków, pomimo wszystkich ochron, winniśmy stosować się do sadzonki o ukorzenieniu głębszem, i dlatego polecam używać głębszą regulówkę, produkującą korzeń dłuższy.

System maczania korzeni w papce glinianej przed zadołowaniem istotnie uważam za celowy, i poczynię z niem próby, będąc pewien, że wydadzą bardzo dobre rezultaty.

Co do nawozów naturalnych, to przyznaję, że są one ze względu na pędraki niebezpieczne, lecz powtarzam że niebezpieczeństwo usunąć w żnacznej części można, zbierając chrabąszcze siadające w szkółkach i ustawiając ziemie pól na pól zmieszane z nawozem. Nie mogę się jednak na to zgodzić, by sadzonka, wyrosła bujnie z powodu dostarczenia jej części pożywnych, a przeto i kształtująca ukorzenienie miała być mniej odporną. W dodatku, przy domieszaniu sztucznych nawozów potasowych, możemy oczekiwać rezultatów dobrych, gdyż zdrzewnienie opóżnione nie będzie.

Osutkę zmrożową przypisuję osóbiście, zgodnie z zapatrywaniami prof. Sokołowskiego, systemom zrębowym, które wystawiają młodzież na działanie mroźnych wiatrów, podczas gdy odnawianie naturalne zapewnia ochronę w postać drzewostanu macierzystego, osłabiającego silnie działanie wiatrów zmrażających młode rośliny.

W roku bieżącym osutka mrozowa, z powodu bezśnieżnej zimy, dała się nam wszystkim niezmiernie we znaki. Musimy kwestję tę, na podstawie obecnie poczynionych doświadczeń, omówić obszerniej, i to wspólnemi siłami.

W kwestji przykrywania liśćmi, to z chęcią potwierdzam zapatrywanie sz. kolegi, lecz tylko co do roślin, wschodzących nadchodzącą wiosną. Jeśli jednak mamy do czynienia np. z jesionem, uważam, że pokrycie liśćmi, przyciśniętemi gałęziami da lepszy rezultat.

Niestety, co do walki z pędrakami dalej me doświadczenia i wiadomości, aniżeli podzieliłem się w zarysie z sz. kolegami nie sięgają i mam nadzieję, że nasze uwagi staną się bodźcem dla sz. kolegów do dzielenia się z ogółem zezultatami doświadczeń, które poczynili w tej dziedzinie.

Mścisław Godlewski.

RÓŻNE.

Tir aux pigeons w Wilnie. Grono myśliwych i sportsmanów z Litwy organizuje pod Wilnem, w dobrach Pospieszka hr. Aleksandrowicza, konkursowe strzelanie do gołębi.

Do grona organizatorów nowego standu należą pp. Aleksander hr. Iliński-Kaszowski. Konstanty ks. Radziwiłł, ksks. Bohdan i Ludwik Żagiellowie, Ryszard Korybut-Daszkiewicz, Artur hr. Lubieniecki, Józef hr. Breza, Aleksander hr. Hutten-Czapski, Jozef i Władysław Milejkowie, Józef Haller von-Hallenburg Bohdan Zalutyński, Karol Wagner, Stanisław i Wincenty Eynarowiczowie, Adam Strawiński, Konstanty Adamowicz, Tadeusz Sieheń, Karol Salmonowicz, Eustachy ks. Sapieha, Konstanty ks. Czetwertyński, hr. Aleksandrowicz z Pospieszki, Jan Tupalski i Terencjusz O' Brien de Lacy.

Pierwsze konkursy wyznaczono na d. 10, 11, 13, 15, i 16 czerwca r. b. n. st.

Nagrody — w gotówce i żetonach pamiątkowych.

Zapisy przyjmuje Bohdan ks. Żagiell w Wilnie.

Zjazd b. uczniów Pankiewicza. Grono byłych uczniów ś. p. Jana Pankiewicza powzięło myśl zwołania zjazdu, wszystkich uczniów jego i w tym celu utworzony został Komitet wykonawczy zjazdu, złożony z pp. Antoniego Alimowicza, prof. Maksymiljana Białowiejskiego, prof. Józefa Jerzego Boguskiego, Kazimierza Hordliczki, dr. Stanisława Kurtza, Stefana Lilpopa, Stanisława Manduka, Gustawa Martensa, Józefa Mucharskiego, Stanisława Rutkowskiego i Józefa Włoskiewicza.

Zjazd ma się odbyć w dn. 27 i 28 Września r. b.

Pożądanem jest, aby zjazd ten był bardzo liczny i w tym celu Komitet zwraca się do wszystkich Kolegów z prośbą o nadsyłanie swych adresów do Sekretarza Komitetu p. Józefa Mucharskiego, Warszawa Chmielna 54, a to w celu przesłania im zaproszenia i programu Zjazdu.

Wystawa psów w Kijowie. W „Château de fleurs“ otwarta została trzecia z rzędu wystawa psów i przyrządów myśliwskich, urządzona staraniem kijowskiego Towarzystwa racjonalnego myśliwstwa. W teatrze letnim i

innych pawilonach wystawiono sto kilkadziesiąt psów, wśród których dominujące stanowisko, tak co do liczby, jak i czystości rasy zajmują wyżły (około 100 eksponatów), w tem około 20 pointerów, nieco więcej seterów angielskich, kilkanaście seterów irlandzkich, tyleż seterów-gordonów, parę spanjolów i kilka wyżłów niemieckich. Psy łowieckie, czyli ogary, również reprezentowane są na wystawie w dość znacznej ilości. Wśród kilku odmian chartów znajdowały się wcale niezłe okazy. Wystawę psów myśliwskich dopełniają taksy i terjery w nieznacznej zresztą ilości.

Powszechną uwagę zwracają na siebie wystawione po raz pierwszy na wystawie w Rosji psy policyjne w liczbie 8 sztuk, będące własnością kijowskiego wydziału policji śledczej i żandarmerji kolejowej. Są to przeważnie niemieckie psy owczarskie (6 okazów) i dwa doberman-pinczery.

Zatopiony las. Przed kilku dniami w Westfalji, w okolicy miasteczka Hofstein, zapadło się 15 morgów lasu na 15 metrów głęboko pod powierzchnię ziemi. W miejscu gdzie przedtem był las, utworzyło się natychmiast jezioro. Korespondent „Berl Tgb." opisuje ten wypadek, jak następuje: W północnej części Westfalji, tuż nad granicą Hanoweru, znajduje się opustoszała okolica, którą nazywają tam Swiętem morzem. Podanie głosi, że stał tam niegdyś, przed wiekami, klasztor, który pewnej pięknej nocy zapadł się pod ziemię. Bujne zielska zarosły to miejsce i zrzadka tylko widać wśród nich brzozy i jodły. Teraz historja ma do zanotowania drugi podobny wypadek w tej samej okolicy. Tego samego dnia, którego wydarzyła się katastrofa, mieszkańcy okolicznych wiosek słyszeli niby grzmoty podziemne i dało się przytem uczuć niby lekkie trzęsienie ziemi. Nagle przestrzeń nieco zalesiona, obszaru dziesięciu morgów, zaczęła się powoli obniżać. A odbywało się to tak spokojnie, że rosnące na niej jodły i brzozy zanurzały się wraz z nią powoli i bynajmniej nie upadły. Ze wszystkich ścian tej nowo tworzącej się doliny obficie wypływać zaczęła woda. Z początku spływała powoli, wkrótce jednak zebrało się jej tyle, że drzew, które się zapadły, zaledwie wierzchołki widać było nad powierzchnią wody. Tymczasem w okolicach tego miejsca zauważono inny, bardzo ciekawy objaw. Mianowicie na polach i łąkach, wysoko bardzo położonych, ukazały się nagle silnie bijące źródła. W jednej chwili utworzyły one bystro rwący potok, który zalał całą okolicę na dużej przestrzeni. Woda dotarła aż do położonej o kilka kilometrów miejscowości kąpielowej Bad Steinbek. Lecz również prędko, jak nastąpiła powódź, tak samo zniknęła. Widocznie szybko wyczerpały się źródła. W nowo utworzonem jeziorze źródła nie zaprzestały swej pracy i poziom wody podnosi się z godziny na godzinę. Na miejsce wypadku przybyło wielu geologów, którzy starają sie zbadać przyczynę tak nagłego kataklizmu. Według ich mniemania, wody podziemne wyżłobiły w ciągu długich lat przejście w znajdujących się tam pokładach miocenicznych, Uczeni są zdania, że w najbliższej przyszłości nastąpią dalsze katastrofy. Wielu mieszkańcow okolicznych wiosek opuściło w trwodze swoje domy.

Bajeczne ceny za strzały. Jakie wprost bajońskie sumy płacone bywają obecnie w Niemczech za dzierżawę polowań, dowodzi tego pomieszczone nie dawno ogłoszenie w jednem z najpoczytniejszych pism drezdeńskich. Anons ten przytaczamy dosłownie „*Strzelanie do cietrzewi.* W rewirze wielkopańskim, o godzinę drogi koleji od Drezna odstępuje się prawo polowania na cietrzewie. Cena za każdego cietrzewia 100 marek". Czyż to nie charakterystyczne?

Trofea myśliwskie cesarza Wilhelma II w r. 1912-ym—13. Władca Niemiec zastrzelił znów sporą liczbę zwierzyny wszelkiego rodzaju, pisma też niemieckie podają następujący wykaz trofeów cesarskich:

	sztuk
3-go i 4-go czerwca polowanie w Madlitz kozłów	12
Od 21-go września do 8-go października Rominten jeleni	21
Od 14-go do 18-go października Schorfheide: jeleni	25
24-go października Weimar: 545 bażantów, 3 kuropatwy zając, królik różne.	551
9-go listopada. Letzlingen: Danieli 37, dzików 22	59
12-go listopada. Trachenberg bażantów 1,012 zajęcy 9, królików 3, różnych 3	1027
14-go i 15-go listopada. Moschen bażantów 1365 zajęcy 26, kuropatw 20	1411
23-go listopada Springe: 1 jeleń ałtajski 3 danieli 40 dzików	44
27-go do 30-go listopada. Donaueschingen: lisów	96
6-go i 7-go grudnia Bückeburg: jeleni	36
28-go grudnia: Entenfang pod Poczdamem bażantów 121, królików 77	198
Razem.	3,480

Z czego przypada: 83 jelenie, 40 danieli, 62 dziki, 12 kozłów, 36 zajęcy, 81 królików, 3043 bazantów, 23 kuropatwy, 96 lisów, 4 różne sztuki.

Wogóle cesarz Wilhelm w ciągu swojego życia upolował do dnia 1-go stycznia 1913-go roku. 2,074 jelenie, 92 łanie, 1814 danieli, 98 danielic, 3180 odyńców, 316 warchlaków, 955 kozłów, 18024 zajęcy, 2777 królików, 121 gemz, 628 lisów, 3 niedźwiedzie. 12 łosi, 6 bizunów, 3 renifery, 2 muflony, 6 borsuków, 1 kunę, 108 głuszczów, 24 cietrzewie, 3 bronzowe indyki, 2 dzikie perlice, 41621 bażantów, 890 kuropatw, 95 pardw, 5 słonek, 2 bekasy, 87 kaczek, 826 czapli i kormoranów, 1 wieloryba, 1 szczupaka 527 różnych sztuk=74,302 sztuki.



Bajeczka o czapli.

Oto wieść nadeszła:
Nadleciała wiosna,
A z nią ptaki duże, małe,
Czajki i bociany białe,
A pośrodku czapla
Na błocie se klapła!...

Chodziła po błocie,
Zjadała łakocie:
Węże, żaby i ropuchy,
Polujące tam na muchy,
Jadła z apetytem,
Postękując przytem.

Gdy się pożywiła
Nasza czapla miła,
Rozpostarła swoje pióry,
Poleciała hen pod chmury,
Z dumą patrzy na dół,
Na śmiertelny padół.

Nie dojrzy wysoko
Ptaków znawcy oko;
Więc orłowym krąży lotem
Nad rodzimem swojem błotem
I orła udaje,
O wielkości baje.

Gdy leciała w górę,
Kędyś po pod chmurę,
To zabrała zapas sobie
Z bagna błota w długim dziobie:
Mogą być potrzebne
Krytyki pochlebne...

Czapla w górę krąży,
Pod niebiosy dąży,
Aż się błoto stalo z czasem
Niewygodnym ambarasem,
Więc je rzucić trzeba
Hen! tam aż z pod nieba.

Patrzy: coś zielone
Leży rozłożone,
Pomyślała, że to łąka,
Więc radośnie sobie chrząka,
Puszcza z dzioba błoto
Na tę łąkę oto!

Coś zrobiła czaplo?!...
Całe błoto chlapło
Na okładkę tej gazety,
Co gdy ujrzysz, krzyczysz „rety“!
Wystrzeliłaś bąka,
Myśląc, że to łąka.

Latasz za wysoko,
Nie orle masz oko,
— „Zakręciło ci się w głowie“
Każdy tak na pewno powie,
Lataj trochę niżej:
Spadać będzie bliżej!!!

Honny soit, qui mal y pense.

O karmieniu cieląt.

Pozwolić cielętom ssać krowy, czy też poić je? Pytanie to zasadnicze dotychczas ostatecznie rozstrzygnięte nie zostało. W Szwajcarji ogólnie cielęta odsadzają i poją. W innych okolicach, gdzie hodowla bydła również bardzo rozwinięta, pozostawiają je przy krowie. Ostatni sposób wychowania tę ma niedogodnrść, że nigdy wiedzieć nie można, ile mleka cielę wyssało i ile w tem mleku zawartego było tłuszczu, a tem samem osądzić niepodobna, czy pożywienie cielęcia jest dostateczne, lub zbyt obfite i czy odpowiada kierunkowi hodowli, ktory sobie wytknęliśmy. Za pojeniem więc cieląt przemawia ten wzgląd, że pojąc, możemy dawać ilościowo pożywienie, zmieniając naturę cielęcia od samego początku w kierunku, jaki hodowli nadać zamierzamy.

Zwolennicy pozostawiania cielęcia przy krowie twierdzą, że to jest najnaturalniejszy sposób wychowania. Zastanowiwszy się jednak nad tem uważniej, musimy dojść do przekonania, że tak nie jest i że kulturalna hodowla zmieniła i pod tym względem naturę krowy. W stanie dzikim każda samica wydziela tyle tylko mleka, ile potrzeba do wyżywienia potomstwa i to potomstwo, jedno lub więcej, wysyssa za każdym razem wymię zupełnie i ani nie trzeba obawiać się, aby żołądek przeładowało, ani też, żeby pokarm jakościowo nie był odpowiedni. U cielęcia rzecz się ma inaczej; cielę tylko wtedy jakościowo odpowiedniem swej naturze mlekiem nakarmi się, t. j. tyle tłuszczu w niem spożyje, ile potrzebuje, jeżeli wyssie cała zawartość wymienia. W stanie dzikim wydzielanie mleka ustaje, skoro odbierze się samicy młode. U krowy dzieje się inaczej; zwiększona produkcja mleka jest dziełem kultury celowej hodowli krowy, jako zwierzęcia domowego, doprowadzonej już do wielkiego rozwoju, którego granice ostatecznie jeszcze nie zamknięte. W tej to zwiększonej ponad potrzebę płodu produkcji mleka u krowy leży i niebezpiecznieństwo dla ssącego cielęcia.

Profesorowie szkoły mleczarskiej w Weihenstephan w Bawarji, dr. Henkel i dr. Mühlbach, postawili sobie za zadanie zbadanie ilości mleka i w tem mleku zawartego tłuszczu każdorazowego pożywienia ssących cieląt, a rezultaty tych badań dają cenne wskazówki co do wychowania cielęcia w pierwszym okresie rozwoju.

Trawieniec cielęcia zaraz po ulężeniu objąć może nie więcej jak litr jeden, ztąd też reguła, aby takiemu cielęciu nie dawać na raz więcej, jak taką ilość mleka. Dalej, żołądka tego nie można przecież od razu całkiem napełnić; siarę (colostrum) trzeba więc dawać w mniejszych ilościach i na kilka dań podzielić; zbyt wielkie bowiem rozszerzenie żołądka wpłynęłoby i na rozwój ogólny i na formy ciała zwierzęcia ujemnie.

Po czterech tygodniach trawieniec może objąć już około 8 litrów, wszystkie razem zaś żołądki mniej więcej 11 litrów.

Na pytanie ile mleka powinno wypijać cielę w czasie ssania, hodowcy bardzo różne dają odpowiedzi, częstokroć bardzo niepewne; wszyscy jednak na jedno się zgadzają, że niebezpieczne jest przepasienie, ponieważ wskutek niego powstają zaburzenia żołądkowe, które rozwój organizmu powstrzymują, a tem samem wychowanie podrażają. Ogólnie wziąwszy, wszyscy są tego zdania, że cielę siary nie więcej jak $^3/_4$ litra dostać powinno i to nie na raz, ale w trzech lub czterech dawkach. W trzecim dniu ilość mleka nie powinna przechodzić 4 litrów, rozdzielonych na dzień cały. Po 6—7 dniach można już dawać 5 litrów, po dwóch tygodniach $7^1/_2$ litra, a dopiero po trzech tygodniach 9 litrów, jako najwyższą dawkę dzienną, o ile możności w odstępach ośmiogodzinnych.

Ilość mleka, którą codziennie cielę pobiera, nie zwiększa się równomiernie z wiekiem, ale zmienia się nietylko już codzień, ale i przy każdem ssaniu. Zupełnie zaś wyłączonem jest równomierne karmienie, jeżeli cielę przysadzamy do krowy dwa lub trzy razy dziennie; rano wyssie zawsze większą ilość. niż na południe lub wieczorem. Rano krowa daje tyle zwykle mleka, co w południe i wieczorem razem. To nierówne żywienie, zbyt wielka ilość mleka rano, sprawiają u cielęcia zaburzenia żołądkowe, czego skutkiem mniejsze lub większe rozwolnienie i brak apetytu, a cielę na wadze traci. Przyczynia się do tego i to jeszcze, że ranne mleko o wiele mniej tłuszczu zawiera, niż południowe i wieczorne, a tem samem im mniej mleka cielę rano wyssie, tem mniej spożyje tłuszczu.

Tę niedostającą ilość tłuszczu w porannem mleku może sobie wprawdzie cielę wynagrodzić po części większą ilością tłuszczu w południowem i wieczornem; ale takie ciągłe zmiany w ilości i jakości pożywienia nie mogą się przyczyniać ani do zdrowia, ani do równomiernego rozwoju organów trawienia.

Jeżeli cielę przysadza się do krowy tylko dwa razy dziennie co 12 godzin, to ilość wyssanego mleka będzie mniej więcej taka sama, ale za to większe jest niebezpieczeństwo zbytniego przeładowania żołądka, aniżeli przy trzykrotnem przysadzaniu. Chociażby nawet przy takim sposobie żywienia nie pokazywały się żadne choroblliwe objawy, spożycie odrazu tak wielkich ilości mleka nie wychodzi na korzyść ani cielęciu, ani hodowcy, ponieważ mleko nie może być dostatecznie wyzyskane.

Na stosunek pomiędzy ilością skarmionego mleka, a przybieraniem na wadze, każdy

Nr. cielęcia	I	II	III	IV	V	VI	VII
Obserwowano dni	25	34	29	32	26	32	38
	kg.	kg.	kg.	kg.	kg.	kg.	kg.
Ważyło na począt.	33,55	35,60	41,70	42,00	43,20	53,30	55,60
„ przy końcu	56,80	61,10	72,70	77,00	67,20	90,10	75,90
Przybrało wogóle	23,25	25,50	31,10	35,00	24,00	36,80	22,30
„ na dzień	0,93	0,75	1,07	1,10	0,92	1,15	0,74
Wypiło mleka wogóle	197,85	241,70	270,10	307,80	274,40	305,20	264,30
Wypiło mleka na dzień	7,91	6,10	6,30	9,30	9,50	9,54	8,80
Na 1 kg. przybranej wagi potrzeba było mleka	8,51	9,48	8,68	8,79	10,30	8,29	11,80

hodowca baczną winien zwracać uwagę, ponieważ do oceny wartości hodowlanej i gospodarczej każdego cielęcia potrzebna jest koniecznie wiadomość, ile potrzeba mleka na wyprodukowanie 1 kilogramu żywej wagi. Ilość ta mleka bardzo jest rozmaita, jak poniższa tabela wykazuje.

Wedle tabeli tej najmniejszą ilość mleka do przybrania 1 kilogramu na żywej wadze potrzebowało cielę nr. VI, a mianowicie 8,29 kg. Cielę nr. VII. najmniej przybrało na wadze; spotrzebowało 11,8 kg. mleka na wyprodukowakie 1 kg. żywej wagi. Porównywając cielęta nr. VI. i nr. VII. widzimy jasno, że mimo pozornego zdrowia cielęcia, mleko przy wychowaniu marnować się może.

Na pytania: jaką zawartość tłuszczu powinno mieć mleko służące do karmienia cieląt, a dalej o jakiej zawartości tłuszczu najzdrowsze jest mleko dla cielęcia — ani nauka, ani też praktyka nie umiały dotychczas odpowiedzieć. Dowiedzionem jest, że mleko z każdego strzyka najwięcej zawiera tłuszczu przy końcu doju. Przy początku dojenia może mleko zawierać np. 0,5 procent tłuszczu, podczas doju podnosi się ten procent ciągle i dojść może przy samym końcu do 10 procent, a nawet i więcej. Cielę więc pszysadzone krowy musi wyssać najchudsze mleko, a dopiero w ciągu ssania mieć będzie bardziej tłuste. W ten sposób więc cały tłuszcz zawarty w mleku w takim tylko razie spożyje cielę, jeżeli wyssie wszystko mleko z każdego strzyka. (*Dokończenie nastąpi*).

Warunki przedpłaty z dostawą. W Warszawie i na prowincji: rocznie rb. 8.— półrocznie rb 4. — kwartalnie rb. 2. — za granicą: rocznie koron 24. — lub marek 20, — półrocznie kor. 12 lub mk. 10, — kwartalnie kor. 6 — lub marek 5.; — pojedyncze numera 40 kop.

Warunki ogłoszeń: Przed tekstem: cała strona rb. 60, pół str. 32, 1/4 str. rb. 18, 1/8 str. 10 rb., 1/16 str. rb. 5 k. 50. Po tekście: cała stronica rb. 50, 1/2 stron. 28, 1/4 str. rb. 16, 1/8 str. rb. 8.50 i 1/16 rb. 4.50.

Przedpłatę przyjmuje administracja, jak również każda księgarnia w Warszawie, na prowincji i za granicą

Komplety za rok 1912 w ozdobnej oprawie otrzymać można po cenie Rs. 5 kop. 50 wraz z przesyłką w Administracyi. — Za zaliczeniem kop. 20 drożej.

Za listy nadesłane do Redakcji pismo nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Ze zmianą adresu prosimy nadesłać po 20 kop. w znaczkach pocztowych.

Wydawca: **Gustaw Buseck-Busecki.** Redakcja i Administracja: **Nowy-Zjazd Nr. 7.** Za redaktora: **Zygmunt Dekler.**

Druk A. Zięckowski i S-ka Warszawa, Widok 3. Telef. 135-10.



W dobie tokowania cietrzewi. Dodatek do »Gazety leśnej i myśliwskiej«.